Zeszyt 11.

~~Literacka~~

Zapiski II

Nachstehende Bemerkungen umfassen die Seiten von eins bis einschließlich hundert.

Mähr.-Ostrau, den 3. März 1915.

S. 100 = K. 50

Jutrzenka.

Najlitościwsze na ziemi serce kończyło swoje życie.

Dusza mająca opuścić ciało, płakała do Boga: „Czemu mnie zabierasz, Panie! gdy tyle jeszcze łez nie otartych, tyle ran niezagojonych, tyle nieuśmierzonych cierpień?

„Pozwól mi jeszcze bawić na padole płaczu, aż wszystkie boleści ukoję i odtąd żaden zgrzyt z ziemi nie będzie mącił harmonii sfer niebieskich."

Ale jej prośba nie była wysłuchana.

Więc jak światło meteoru przebłysnęła dusza miłosierna tam, gdzie wśród chórów anielskich króluje Pan.

Stanąwszy przed obliczem Wszechmocnego, zaczęła płakać:

„Panie! na ziemi zostało moje serce, bo tam cierpienie panuje.

„Płacz stał się hymnem ziemi od kolebki aż poza grób, a jeżeli uśmiech czasami skrzywi ich lica, to jest to śmiech skazańców pod szubienicą.

„W płaczu przychodzi człowiek na świat i jękiem wita go matka jego.

„Choroby wzięły go w posiadanie i cierpi przez całe życie.

„Wymyślono mu narody i ojczyzny, nad którymi boleje, albo dla nich idzie drugich zabijać.

„Stworzono mu religie i nienawiści religijne, aby ~~się~~ ciągle mordował drugich i uczył się ich nienawidzić.

„Łakomstwo i zawiść wszczepiono mu w duszę, chęć zasługi i chwały aby się truł niepowodzeniem i poniżał innych.

„Na czoło ludów wysunęli się oszuści i bluźnią wierze, narodowi, szczytnym przeznaczeniom, byle tłumy zaprzęgnąć w jarzmo.

„Nikt nie cieszy się tem co zyskał, bo mu zysk sąsiada spoczynku nie daje

„Ziemia zamieniła się w piekło milionów stworzeń, które kłębią się w nienawistnych uściskach, jak plugawe robactwo, zamknięte w flaszce bez powietrza.

„Panie! skończ niedolę, daj pociechę rozeznania, niech świat nie będzie katownią dobrowolną."

I spojrzał Pan ku ziemi.

Oczy jego jak dwa słońca w twarzy przeźroczystej nakształt naczynia alabastrowego, w które wstawiono płonącą pochodnię.

A na ziemi od morza do morza stały przeciw sobie ludy niezliczone,

wyrzynając się wzajemnie z zapamiętaniem wściekłości.

W chwilach odpoczynku mniejsze części kłóciły się z sobą — i była ludzkość podobna do piramid, gdzie nad głowami mnogich tłumów, stały piętra tłumów coraz mniejszych, aż kończyły się na szczycie kilkoma lub jednym.

A wszyscy wyżej stojący cisnęli i deptali niższych, a stojący w jednej wysokości, rozdzielali między siebie policzki, uderzenia i kopnięcia.

I znowu piramidy ruszały przeciw sobie, a wściekłość rozpalała gniewy we wszystkich i gryźli się zębami, mordując wzajemnie.

Krwawe pożary oświecały te straszliwe mordownie.

I Pan odwrócił od ziemi oblicze swoje ze wzgardą.

Spojrzała duszyczka ku ziemi, a oto wichry powstały z oceanów i pustyń i opasały ziemię dokoła gęstą kurzawą.

A z głębin zadymionych milionowe jęki wydostawały się jako z kuźni szczęk młota.

„Ulituj się nad nimi Panie! — wołała — bo w ciemności brodzą.

„Życie ich, jako dzień jeden, gdzie słońce nie spoczywa, lecz od wschodu biegnie pospiesznie zapaść na zachodzie. Tylko u nich, kto raz pogrąży się w nocy, nie wstaje na brzask nowy.

„Wlej im, Panie! świadomość znikomości, aby się nauczyli tych krótkich chwil nie zatruwać sobie wzajemnie — bo oni biedni cierpią bardzo.

A nie słysząc odpowiedzi, spojrzała w oblicze Pana.

I było surowe, jak miedź w ogniu rozpalona i nieruchome jak kamień.

Główki aniołów, przejrzyste jak kryształ zarumieniony, składały tron jego i oparcie i baldachim nad głową.

I kłębiły się wciąż te główki zachwycone, wymieniając się ciągle jako przypływ kropel w rzece, bo każdy chciał choć na chwilę uczuć na sobie dotknięcie Pana.

A postaci odpływające, wzruszały się dreszczem rozkoszy, jakoby promieniem lubieżności i powracały falą, aby dopłynąć znowu stopy lub szaty Pana, kołysane między życiem, a pragnieniem.

I nie było między nimi spokoju na widzenie i pamięć o tem, co się poza nimi dzieje, bo każdy pragnął przez mgnienie oka być podnóżem w krześle Pana i po tem drgnięciu rozkoszy rozpamiętywał, pragnął na nowo i wracał.

Zamroziła się na ten widok czułość gorąca duszyczki i jak wyrzucony procą kamień odleciała świetlista w przestworza.

Na granicy sfer niebieskich zawisnęła jako gwiazda i stała się jutrzenką, która przed słońcem wstaje patrzeć na cierpienia ludzi i płakać nad nimi.

Pół czasu świeci w zorzy porannej nad jedną półkulą, a drugie pół nad drugą.

Ale widząc boleść tylko na obydwóch, nad obiema płacze.

12.III.915.

—

6. IV. 15.

Minęły święta. P. Kierszenowski dał mi podczas przechadzki rannej w podwórzu jaje na twardo i to był przysmak świąteczny. Czy były te święta gorsze od innych? Oj były przed 10 laty. Wypadły w kilka tygodni po pogrzebie ojca. Bujność budzącego się życia była rozlana po świecie. W pogodny kwietniowy dzień wyszedłem na pole, a zboże, zdzierające już pochwę na kłos, drgało życiem, przyspieszonym wzrostem, obfitością soków rodzących. Na łozinach żółto zielone listki, oblepione sokiem, w którym się rozwijały w pąkowiu, z pacioreczkami kwiatu, jakoby unurzanego w cieczy wytwarzającej życie, o mało nie doprowadziły mnie do obłędu. Byłbym niszczył to wszystko. Obrzydliwość mnie zebrała na skupioną w powietrzu, rozlaną po liściach lubieżność rozmnażania się, na utajony a przyspieszony oddech rozkoszy płodzącej w naturze wtedy, kiedy nie przysiadła jeszcze mogiła kryjąca zwłoki tego, który tę ziemię pół wieku przeszło znoił potem i pracą swoją, który to zboże posiał, który w to wszystko życie swoje włożył. Ten brak litości nad człowiekiem, to cudzołożenie natury na świeżym grobie człowieka wydało mi się tak oburzającem i tak wstrętnem, żem przez dwa dni świąteczne prawie nic nie jadł i zaraz uciekłem do Tarnopola. Drzewa przez nieboszczyka ojca sadzone, szczepione, czyszczone nie wstydziły się kopulować z sobą — cała natura napełniona była lubieżnością, zapachem łóżka w domu publicznym. Były to święta nie do wytrzymania — sto razy gorsze od więziennych. Od owego czasu straciłem wszelkie przywiązanie do wsi rodzinnej. Ta wioska, miejsce, gdzie w marzeniach wszystkie kładłem pomysły, przedmiot ukochania, moich wierszy, snów i chorobliwej miłości, stała mi się niemiłą. Przez trzy lata nie mogłem do niej zaglądnąć, a potem, kiedy do matki przyjeżdżałem, starałem się zawsze przyjeżdżać w zimie albo wśród pełnego lata — poczynającej się wiosny dotąd w Głogowcu nie widziałem.

Jak zbytecznym w naturze jest człowiek!

7. IV. 15

Od poniedziałku wielkanocnego dają nam zmniejszone porcye chleba: dzieli się żołnierski komiśniak na trzy części, nie jak było dotychczas na dwie, i taka cząstka ma wystarczyć więźniowi na cały dzień. Nie wiem, jak zdrowi żołnierze o tym wikcie wytrzymają, tem więcej, że i zupa jest od miesiąca cienka, a mięsa w niej łyżką wyłowić nie można. Od dwóch miesięcy zamiast mięsa dają łój. Wydziwić się nie można, skąd

bierze się w monarchii tyle tłustych krów. Swoją drogą w tym nowym chlebie czuć jakiś ślad ziarna żytniej mąki, czego od półtora miesiąca nie było. Widocznie protest hr. Tiszy przeciw zbyt wielkiej konsumcyi węgierskiej kukurudzy przez austryacką ludność, bo na tem może ucierpieć węgierski chów bydła. Stąd wniosek, że przed potrzebami węgierskich wołów i świń mają ustąpić potrzeby austryackich obywateli.

—

Polska jest krajem rolniczym, a Polak przed wszystkimi narodami kocha swoją ziemię. Tak się mówi i pisze. Czy to prawda? Czego Polacy dokazali w rolnictwie? Z całej Europy - odciąwszy Rosyę i Bałkan - rolnictwo w Polsce stoi najniżej. Ulepszone narzędzia, doskonalszy sposób nawożenia, uszlachetnianie nasion, poprawa gleby, ulepszanie ras bydlęcych, drobiu, drzew owocowych - jednem słowem doskonalenie wytwórczości rolniczej jest wynalazkiem obcym, który u Polaków przyjmuje się z nadzwyczajną trudnością. My jesteśmy rolnikami dlatego, żeśmy zbyt leniwi i bezmyślni, aby jąć się innego zatrudnienia, które wymaga większej zapobiegliwości, chociaż przynosi za to większe zyski. Gospodarujemy na ogół tradycyjnym sposobem, od Lecha jeszcze pochodzącym i mamy przekonanie, że na rolnika nie potrzeba nauki ani talentu. Gdy chłopski syn nie może się wyuczyć ani na księdza ani nawet na oficyanta, zostaje na roli, niejako za karę, że nie chciał się uczyć. Szlachcic chłopca, przechodzącego z klasy do klasy, oddaje do służby w namiestnictwie, a głuptasa, który nawet matury nie mógł spartolić, pozostawia na folwarku, jako jaśnie pana dziedzica. Stąd dorobkiem naszym są wytrzebione lasy, rozszerzające się ciągle wydmy piaszczyste, szkapki zamiast koni, gruźliczne krowy lub zamotylicone owce.

Prawda, chłop pracuje na roli i pracuje ciężko. Ale w tem „ciężko" tkwi krytyka jego pracy. Idzie na zagon z musu, jak gdyby po pańszczyźnie, stęka na swój trud i wzdycha do możliwości lenistwa. Zazdrości wszystkim ludziom, którzy zarabiają na życie „lekko", piórem, gębą, szachrajstwem. To nie jest praca świadoma celu, to poddanie się odziedziczonym, w instynkt wszczepionym nakazom elementarnym, bez miłości do zawodu, bez uśmiechu dla oczekiwanego celu, bez zadowolenia z dokonanego dzieła. Ta praca nie jest mu celem życia lecz ciężką służbą, twardą koniecznością, elementarnym objawem. A taka praca

ni pna postępu, rozwoju. Postęp czasem się w niej objawi, ale tylko jako naśladownictwo celem ułatwienia sobie pracy – nigdy jako świadomy czyn zapobiegliwości dla podniesienia kultury gospodarczej i wydatności. Jako naśladownictwo przyjmuje się z oporem i późno – ale nigdy nie jest postępem twórczym, wyprzedzającym innych, wynikłym z zastanowienia i doświadczeń. Do tego trzeba żyć swoim zawodem, myśleć o nim – a tego żaden Polak nie robi. On nawet naśladować nie chce postępu obcego, o ile przytem naśladownictwie trzeba się zastanawiać i kombinować. Tak jest we wszystkich zawodach, wykonywanych przez Polaków, nietylko w rolnictwie. Z najmniejszym wysiłkiem myśli idzie się utartą koleją.

Chłop jest łakomy na ziemię, ale nie kocha zagonu ojczystego tylko morgi. Chce mieć jak najwięcej gruntu, bo to mu nadaje wyższą rangę między współmieszkańcami gminy. Gdy jest zdrów i przedsiębiorczy, a znajdzie sposobność przefacyendowania ojczystej niwy za rozleglejsze gospodarstwo w innej gminie, nie waha się ani chwili. Jestże to miłość do zagona ojczystego, do swojej ziemi matki – czy też podszyta zarozumiałością łakomość na grunt wogóle, na liczbę morgów? Stąd pochodzi ta ogromna niedbałość o swoją chatę, o obejście, o sad, o wygląd pola – nie ma przywiązania do tego właśnie, a nie innego kawałka ziemi. Przeciętnie chłop nie obsadzi murawy drzewami przy drodze, nie otoczy obejścia drzewami, nie da krzaków i zarośli nad rów czy strugę lub sadzawkę, nie wysypie piaskiem klepiska przed chałupą – nie zrobi nic dla upiększenia swojej siedziby, choćby miał materyał pod ręką i czas. Wściekłym Kijowstwo na jakiś uczyniło go podróżnym hotelowym we własnym domu. Przed pół wiekiem obsadzano jeszcze place drzewami – są wsi, któreby można było wówczas nazwać lipowemi, brzostowemi, osikowemi, jarzębinowemi, topolowemi, zależnie od tego jaki gatunek drzewa w której gminie przeważał przy upiększaniu placu. Dziś tego się nie robi. Zbuduje się dom bez wyrazu i charakteru, upodobanie do piękna zaspokoi się dachówką, lub innem pokryciem w jaskrawe kolory i sterczy w polu czy przy drodze goły budynek, ni to koszarma, ni pustka. Czasem zatknie się w ziemię krzak wiśni, aby dzieciska miały się po czem spinać i było do czego bydlę przywiązać. O zamiataniu klepiska przed chałupą nikt nie myśli.

Dawniej, kiedy jeszcze dziewczęta ozdabiały niedzielą włosy w kwiaty, pielęgnowały jaskrawe kwiecie na grządkach pod oknami. Dziś tego nie ma. Piękne zamiłowanie do kwiatów przeszło, utonęło w międzynarodowej obojętności wago-

nowej. Znikają stare, imponujące, pełne wdzięku i charakteru „place" czyli obejścia, a na ich miejsce szczerzy się w ulicę tandetna chałupa, dla pretensjonalności kryta „szczerupą" czyli dachówką. Dom jest nie siedzibą czterowicka, lecz chwilowem legowiskiem. Jak tyle innych cennych tradycyi przepada i ta ochota do upiększenia, ogrodzenia obejścia. Za to zostaje wódka, syfilis i socyalistyczny frazes.

Miłość nie do ziemi lecz do morgów każe chłopom skupywać we wsi parcele, które tylko są na sprzedaż. Stąd pochodzi rozrzucenie majątku jednego czterowicka po wszystkich stronach gminy w ogromnej ilości rozrzuconych parcel, ~~niemoż~~ niedostępnych często, zawsze trudnych do uprawienia i należytego wykorzystania. Niejednokrotnie włożenie tych pieniędzy, za które się nabyło niedostępną ćwierć morga, w jakąś melioracyę przyniosłoby większe dochody – ale miłość do morgów a nie do swojego zagona nie pozwala na podniesienie kultury posiadanego majątku, lecz każe pomnażać liczbę morgów.

Szlachcic również nie kocha ziemi, tylko rangę, jaką mu posiadanie obszaru dworskiego zapewnia w społeczeństwie. Ani roli ani rolnictwa nie kocha, bo mu się bezmyślne próżniactwo uśmiecha. O ile tylko czynsz dzierżawny wystarcza mu na potrzeby, bez wahania wydzierżawia majątek i przenosi się do miasta na próżnowanie i robienie długów. W Galicyi wschodniej może 10% majątków było we własnym zarządzie właścicieli – i to przeważnie majątki jednofolwarkowe, z których czynsz nie wystarczyłby na hrabskie życie w mieście. Zarząd osobisty był więc koniecznością ekonomiczną, a nie wynikiem przywiązania do ziemi lub do zawodu rolniczego.

Takiej obojętności do miejsc rodzinnych i do spuścizny po przodkach jak u szlachty polskiej w Galicyi nie widziałem nigdzie. Prawie niema szlachcica, któryby posiadał miejscowość, od jakiej wziął nazwisko. Lubomierza niema Lubomirski, Czartoryska Czartoryski, Bawor[o]wa Baworowski, Potoka Potocki, chociaż niejednokrotnie łatwo je było nabyć z pow[r]otem. Jak chłopu o morgi tak szlachcicowi chodzi o folwarki, mniejsza o to jak się nazywają i gdzie leżą. Znałem zamożnego szlachcica o kilku folwarkach i znacznej gotówce, który bez wahania sprzedał dwór, gdzie się urodził i wychował, skoro przy konjunkturze trafiła mu się sposobność zarobienia 30.000 Kor wedle ceny szacunkowej i miejscowej wartości gruntów.

z tradycyami to samo. Po skonfiskowaniu Puław tradycya polska Czartoryskich przeniosła się do Sieniawy. Przez lat 70 Sieniawa była centrem ruchu polityczno-narodowego. Zaledwie jednak Adam Czartoryski przyżenił się do Krasińskiej, zaraz przeniósł siedzibę do Złockie, a Sieniawa, związana z imieniem Czartoryskich, opustoszała.

W Rzeszowie z pamiątek po Lubomirskich został prześliczny teatrzyk letni, z francuskim dachem, z niszami, ubranemi w szwajcarskie drewniane ramy: cacko, śliczne ogrodzone. Jakiś żyd przerobił to na dom czynszowy, który niedawno zakupił Dr. Nisć. Zwracałem uwagę Andrzejowi Lubomirskiemu, że powinien to odkupić jako pamiątkę rodową, odnowić zewnątrz, a wewnątrz już zostawić dom czynszowy – nadaremnie. Ja się nad tem trząsłem, a Lubomirskiemu pamiątka po Jerzym Lubomirskim była zupełnie obojętną.

Nie przywiązanie do ziemi, nie miłość do ojczystego zagonu, skropionego potem dziadów i pradziadów, a owianego ich wspomnieniem jakoby obecnością ich duchów, nie zamiłowanie do zajęć rolniczych, lecz ranga, stanowisko społeczne, przywiązane tradycyjnie do posiadania ziemi jest właściwym rysem tego niby to rolniczego charakteru kraju i ludzi w Polsce. Dlatego to polska rolniczość jest taka nietwórcza, zacofana, trudna do udoskonalenia i podniesienia. Nie do zajęć, lecz do rangi złączonej z posiadaniem ziemi, tęskni kupiec, adwokat, urzędnik, przemysłowiec, który dorobiwszy się nieco grosza, kupuje folwark, aby go natychmiast oddzierżawić. Ale tytuł „właściciel dóbr ziemskich" brzmi milej niż mecenas, doktor, radca – własny powóz i konie nasuwają interesentom tytulaturę „jaśnie panie" i tak zgroza moralna i materyalna czuje się wyniesioną ponad głowy krociowych tłumów. Myśli, serca, duszy w zawód nie wkłada i dlatego można równie słusznie nazwać Polskę krajem najmniej rolniczym. W nierolniczej Belgii każdy zagon, każdy folwark zawiera w sobie wcieleśnioną myśl, zapobiegliwość właściciela – w Polsce rolniczej ziemia rodzi podle, bo w niej odbija się najwyżej bezmyślność i obcość karbownika, polowego, czy ekonoma lub dzierżawcy, który chce glebę dla siebie wyssać, zanim mu się skończy służba czy dzierżawa.

Posiadanie folwarku przynosi właścicielowi do tytułu jeszcze najsłodszą dla Polaka rzecz: możność próżnowania. Niezastraszony konkurencyą, nieznuszony do trzymania się godzin urzędowych, myśli, że jest szczęśliwym panem i z nudy

puszcza się na zabawy, robienie długów, utracjuszostwo.

Chłop, nie przywiązany do tego a nie innego zagona, jest przywiązany do swojej okolicy, parafii. Normalnie woli skupywać parcele w swojej gminie, albo fatygendować na większe gospodarstwo w sąsiedztwie, niż wynosić się za oczy. Chce znaczyć między swoimi, puszyć się wobec znajomych. Z folwarkami jest inaczej. Kupi się go nawet na Księżycu, boć tytuł „właściciel dóbr ziemskich" brzmi wszędzie jednakowo. Podział majętności ziemskich na rustykalne i obszary dworskie jest jedną z największych plag. Właściciel dwustu morgów, któregoby na Morawie nie nazwano „Grossbauerem", jest w Galicyi jaśnym panem z powozem, cugowymi końmi, lokajem, kucharzem, często z ekonomem, a nawet z rządcą i ekonomem od razu.

W zajęcie rolnicze nie włożyliśmy miłości, duszy, myśli – więc nie mamy prawa nazywać się narodem rolniczym. Zacofanie naszej gospodarki odmawia nam prawa do takiej nazwy – a my sami zajęcia gospodarcze okrywamy pogardą. „Chłop do wideł, do gnoju", mówi się we wszystkich warstwach, uważających się za „lepsze", a sama ta obelga świadczy, w jakiej poniewierce i pogardzie są u nas zajęcia rolnicze.

—

8. IV.

Im więcej pisze się i mówi o drożyźnie i głodzie, tem lepszy mam apetyt. Chyba w dziecinnych latach miewałem taki apetyt. Jem więcej niż kiedykolwiek w ostatnich 20 latach i jem ze smakiem, ba z żarłocznością, jakiej u siebie nie pamiętam. W ostatnich 20 latach jadałem z obowiązku – zaniechać obiadu czy wieczerzy nie było u mnie żadnym trudem, a po całodniowym głodzie obojętnie i bez smaku zabierałem się do jadła. Teraz inaczej. Czy nie jest to psychopatya z okresu klęski głodowej!

—

Oprócz Krakowian, a w ostatnim czasie Lwowian, Polacy galicyjscy nie mają patryotyzmu lokalnego. Ale i krakowski patryotyzm lokalny ma tylko cechy głupiej, pustej zarozumiałości, a brak mu wszelkich uczuć twórczych, rodzących życie.

Krakowianin przeciętny nie zna zupełnie Krakowa. Kilku miłośników pamiątek wmówiło w niego, że są tam pewne rzeczy, jakich w Polsce niema, więc on

uważa, że wyboje na rynku, brud i smród w uliczkach św. Tomasza i św. Marka, odarte i brudne domy są cechą cenną, pamiątkową, prawie tak ważną jak Kościół Maryacki lub Wawel. Krakowianin nie zna się na niczem. Może mu więc pan Hendel przerobić zamek królewski na szpichlerz o kwadratowych oknach, obutiyć dach namiotowy, wyrzucić kominy i zrobić szopę z cudu — Krakowianin będzie wszystko podziwiał, bo p. Hendel jest znawcą i powagą. Powagą w Krakowie zostać ogromnie łatwo — trzeba nic nie umieć (wiedza nie może tam znaleźć przytułku), tłumaczyć i powoływać się na niemieckie książki, jak najbardziej zohydzające dorobek Polski (w tem tkwi wszechstronność naukowa) i przystać do kółka wzajemnej adoracyi podobnych nieuków. Ci tedy nieukowie wygłaszają opinię Krakowianina, który jest kontent, że ma taki areopag i jeżeli go ktoś zapyta o zdanie lub wskazówkę, daje mu adres owych panów.

Co także Krakowianin kocha w Krakowie? Planty, Sukiennice, Wawel, Kościół Panny Maryi. Za co? Bo mu powiedzieli, że to bardzo cenne przedmioty. Ale ich nie zna. Za to jest pyszny — z czego? z tego, że jest Krakowianinem. A jego Krakowiaństwo ogranicza się naprawdę do tego tylko, że swój gnój składa w krakowskich kloakach, a nie w żadnych innych podlejszego rzędu.

Lwowianin zazdrościł Krakowianinowi, czuł się mieszkańcem stolicy i chciał przez zazdrość swój Lwów zrobić godnym współzawodnikiem Krakowa. Żeby okazać, że Lwów zrósł spod ogona nie wypadł, szukał w historyi dowodów. Tu jego miłość zaczynała przybierać podstawy narodowe i uzasadnienie. Wygrzebano Kazimierza Wielkiego, Olbrachta, Jana Kazimierza i Sobieskiego, szukano miejsc pamiętnych w historyi, wspomnień, a stąd rosła duma i poczucie obowiązków. Lwów stał się miastem najofiarniejszem na cele narodowe, najbardziej polskiem. Przez Lwów stała polskość w Galicyi wschodniej — lwowskie ofiary na Śląsk i Węgry są większe od ofiar całej pozostałej Galicyi razem z Krakowem. Ruch uświadomienia narodowego poszedł czynnie ze Lwowa. A kiedy Lwów powołując się na swoje powołanie przedmurza Rzeczypospolitej przed chmielnicczyzną i tatarszczyzną pracował i składał na sprawy polskie bez różnicy od Szczawy do Ostrawy, wtedy Krakowianie dla których Polska kończy się u mostu podgórskiego, a świat we Wiedniu, przez usta szefa partyi konserwatywnej ś. p. Rudolfa Starzewskiego oświadczyli prywatnie, że nic by nie szkodziło, gdyby cały Lwów został przez Moskali zbombardowany i zburzony, bo w nim nie ma żadnych pamiątek przeszłości, tylko same tandetne koszary czynszowe.

Nie ma się co dziwić, że Krakowianin, nieznający Krakowa, nie zna także i Lwowa. Wszak w Baedekerze nie ma o nim nic. A przecież Polak powinien wiedzieć, że trzy połaci rynku od ulicy ruskiej ku wschodowi i północy aż pod Katedrę zabudowane są domami z XVI i XVII wieku tak pięknymi i charakterystycznymi, że podobnego doboru nawet w Krakowie nie ma. Może jedna ulica św. Jana mogłaby jako całość z temi trzema ścianami rynku wytrzymać porównanie. Czwarta ściana rynku, naprzeciw głównego wejścia do ratusza jest przez późniejsze przeróbki zepsuta. Trzy jednak ściany tego rynku mają więcej charakteru i piękności niż kamienice rynku krakowskiego. Sam krakowski rynek, jako olbrzymi plac z przecudnemi Sukiennicami w środku, nierównanym Kościołem Maryackim, wieżą ratuszową i Kościółkiem św. Wojciecha nie ma równego sobie może w świecie. Ale kamienice, poprzerabiane z końcem XVIII i początkiem XIX wieku bynajmniej nie podnoszą wrażenia i nie mają tej artystycznej wartości, co kamienice rynku lwowskiego w owych trzech połaciach. A gdy się weźmie całą przestrzeń od ulicy Krakowskiej i nawet Halickiej aż do Wałów gubernatorskich, to ż takiego zespołu starożytnych a okazałych domów, pełnych melancholii przeszłości, świadków dawnego bogactwa, ~~te~~ nie znajdzie i w Krakowie. Stare domy w ul. Szpitalnej, św. Marka, Tomasza i Krzyża, więcej trącą ubóstwem i brudem niż starożytnością.
Że zaś we Lwowie zbudowano na Fredrówce mnóstwo domów nowożytnych, modernistycznych — to lepsze one niż krakowskie małpowanie starożytności, choćby w nowej szkole przemysłowej, która ma na szczycie bokser kieszonkowy dla Waligóry, a nad bramą cebule, małpowane z cerkwi kremlińskich.

Umyślnie nie trącam rzeczy wielkich w Krakowie i Lwowie.

Niemniej jaki taki patryotyzm lokalny w obu tych miastach jest. W Krakowie głupszy, bo swego nie zna, a nie swojem pomiata. Ale w innych miastach czegoś podobnego ani śladu. Przywiązanie do swego kąta ma rzemieślnik i drobny mieszczanin, ale przywiązanie nieuświadomione. Intelligencya przyświeca tutaj jak w wielu innych wypadkach zabójczym, rozkładczym przykładem. Zaledwie taki gryzipiórek dostanie się do jakiegoś miasta prowincyonalnego na posadę, już jest niezadowolony, bo jego dusza stołeczna dusi się w dziurze. Przeklina tę dziurę, nienawidzi wszystkiego co w niej jest, modli się o przeniesienie, a tymczasem topi swoje nieszczęście w alkoholu. Nie mówię już o małych mieścinach, ale olbrzymia większość intelli-

gencyi wyklinała piękne miasta większe jak Tarnopol, Stanisławów, Kołomyję.

A ponieważ jedna intelligencya ma przygotowanie do tego, ażeby artystyczne wartości ocenić, wdzięk i charakter miejscowości odkryć, a wspomnienia i tradycye historyczne odgrzebać, więc gdy ona zawodzi, miasta nasze galicyjskie obojętnieją dla mieszkańców i ogółu, stają się czemś bezwartościowem, bez przeszłości, bez wspomnień, bez miłościwej troski u tych, którzy w nich mieszkają.

Pamiętam, jak w Tarnopolu zwracałem uwagę na przedziwną piękność Kościoła OO Dominikanów. Prócz może trzech ludzi z prostem sercem, odczuwającem piękność, nikt nie chciał mi wierzyć. Wykazywałem, że mam patent na mówienie o sztuce, a to moje kilkuletnie studya na uniwersytecie z tego zakresu – powątpiewano, czym z tych studyów skorzystał. Dopiero kiedy Krakowski „Architekt" wydrukował moją notatkę w sprawie tego Kościoła, i dołączył fotografie, uwierzono mi, że to piękne. Nie śmiano się nawet kiedy mówiłem, że kąt u wejścia do zakrystyi przypomina florenckie zakąty. Potem zaczęto się za mojem dyktandem kochać w starych jurydykach, charakterystycznych dla Podola pałacykach, o kolumnach idących przez parter i piętro. Dziś te jurydyki zamienione przeważnie na budynki rządowe jak sąd obwodowy, prokuratorya, starostwo, okręg skarbowy itd. To znaczy niestety już nie dziś, ale wczoraj jeszcze.

Z tego głupiego zohydzania sobie miejsca swojego pobytu wynikają same szkody. Miasto znienawidzone przestaje być miejscem rodzinnem, przestaje być kochaną częścią składową ojczyzny. Wogóle my z miłości ojczyzny wyrzucamy miasta, jako brzydkie, bo ich piękności odczuć nie umiemy, wsi, jako brudne, góry jako nie tak sławne jak zagraniczne, rzeki jako nieuregulowane – po prostu wszystko. A gdy ja chciałbym prawie połowę Polaków przemienić na innych, lepszych ludzi – to co my właściwie w tej ojczyźnie kochamy?

Wskutek tego usposobienia intelligencyi te miasta giną w kapitale miłości ojczyzny jako rzecz cenna. Młodzież wychowuje się w lekceważeniu swego miejsca rodzinnego, bo profesor, zwłaszcza młodszy zaznacza swoją wyższość kulturalną przez złośliwe i uszczypliwe docinki do miejsca pobytu, w które go los niesprawiedliwy zdegradował. A co młodzieży zastąpi ten ogromny zysk na całe życie, jakim jest ciepło przywiązania do miejsca rodzinnego?

Dziewięć dziesiątych profesorów „mięsza podróżnych wyrazem, Śmiech i urągowisko nad ojczystym krajem", aby młodzieży zaimponować przyzwyczajeniem do piękniejszych widoków, obyciem się z większym światem.

Ta obojętność zabija ciekawość. Nikt, przyjeżdżając do nowego miasta, nie pyta o jego początek, o jego dzieje, o wypadki historyczne, które się tam rozgrywały, a których pamięć łącząc przeszłość z teraźniejszością, nadaje cennym przez się okolicom jeszcze wyższej wartości uczuciowej pretium affectionis. Prawda, że pytający nie znalazłby zaspokojenia ciekawości, bo wpadł w koło bezmyślnie niezadowolonych.

Z obojętności do miasta wynika obojętność dla okolicy. Może w ostatnich chwilach przed wojną zaczęło się coś niecoś pod tym względem poprawiać. Ale wogóle intelligencya nie wychylała nosa poza rogatki, a jeżeli było jej koniecznie potrzeba przechadzki, to kręciła się albo po rynku, albo po jakiejś ulicy, gdzie moda kierowała spacerowiczów, albo w najlepszym razie po jakimś małym ogródku miejskim, wciągając w siebie kurz, ale i mając sposobność do kłaniania się znajomym. Ale o wyjściu z miasta, o wycieczce do jakiegoś lasku, nad rzekę, na wzgórek mowy nie było. Wogóle leniwszych do wszelkiego wysiłku tak umysłowego jak fizycznego ludzi od polskiej intelligencyi nie spotkałem. Francuzi są pod względem spacerów odważniejsi.

A przecież znam prawie wszystkie miasta galicyjskie i mogę powiedzieć, że prócz Dąbrowy i Cieszanowa (których zresztą dobrze nie znam) widziałem wszędzie w najbliższej okolicy partye, nadające się cudownie na bliższe i dalsze wycieczki, bogate w widoki, w świeże powietrze i w artystyczne urozmaicenie. A takie przywiązanie do siedziby i do okolic, upiększone wspomnieniami chwil wesoło przeżytych wzbogaca duszę i broni od oschłości serca. Jest to najlepsze zapełnienie pustki, której zapomnienia szuka się w kieliszku, a dla dzieci jest to zbieranie zapasu różanych wspomnień młodości, będących czasem w późniejszem życiu jedyną przystanią ulgi i pociechy.

Przywiązanie się do miejsca pobytu wzbudza zawsze zainteresowanie się jego dzisiejszym stanem. Gdyby intelligencya naprawdę tem się zainteresowała mogłaby nieuświadomionemu, ale istniejącemu patryotyzmowi lokalnemu drobnych mieszczan przyjść z pomocą, wskazując kierunek reform, inwestycyi, porządków, wytwórczości i przyczynić się do tego, że

że zapadłe kąty galicyjskie przybrałyby kulturalną postać.

Tymczasem miasta żyją bez przeszłości i planu na przyszłość, rozwijają się bez ~~...~~ myśli i programu, i gniją w ospałości duchowej. Inteligencya na nie wyklina i rozpija się, a skoro mieszkańcy o zasługach, znaczeniu, potrzebie tego miasta nie wiedzą, nie wie też o nich kraj i ta pozycya w ogólnej narodowej gospodarce jest bierna.

Patryotyzm lokalny rozumny powinien być twórczym składnikiem patryotyzmu ogólnego, a miasta, zwłaszcza większe ogniskami życia duchowego.

10. IV.

Przed dwoma dniami pojawiły się równocześnie dwa ogłoszenia: rosyjskie i pruskie. Moskale uznają Galicyę wschodnią za kraj odwiecznie rosyjski, a za Rosyan nietylko Rusinów, lecz także i tych rzymskich Katolików, którzy w domu mówią po rusku. Mój Boże! Najpiękniejsze lata pracowałem, ażeby napół zruszczonych Polaków uświadomić narodowo – a za to skarżyli mnie Rusini jako polonizatora Rusi, skarżyli szlachcice jako chłopomana rabacyjnego, skarżyli księża jako socyalistę, skarżyli i potępiali socyaliści, żydodemokraci i stapińszczycy jako ajenta szlachciców i klerykała, co chce chłopów zaprzęgnąć w niewolę księżo-pańską. A ja widziałem, że Polska tam jest pewna, gdzie chłop jest rzymskim katolikiem a myśli i mówi po polsku. Przypominam sobie te szlachecko księżo ruskie skargi do Rady szkolnej, pisania w gazetach, upomnienia i dyscyplinarki – ale przypominam te ujadania czerwono postępowe w „Naprzodzie", Kuryerach, Przyjacielach, Głosach i te straszne zjazdy T. S. L. które pod egidą Nawarskich, Gwiazdków, Wygodów, Wąsowiczów, Kotów itd przybierały charakter krwawego sądu nademną.

Jeżeli ci ludzie myślą o mnie, co teraz myślą? Czy pamiętają te kłody rzucane mi pod nogi? te przeszkody, wstrzymujące, a często wykrzywiające moją pracę? Draganówka, Kaczanówka i Płotycz wołają teraz o pomstę do trybunału narodowego nad Wąsowiczami, Stapińskimi.

Wiem, że wielu z tych chłopów ugnie się i przyjdą na Moskali. Przewiduję walkę między Moskalami rzymsko katolickimi, walczącymi o język rosyjski w kościele, a między Polakami. Straszne nadchodzą czasy – zdaje się, że męczeńskie dzieje Podlasia zblakną wobec tego co do kilkunastu lat zacznie się w tej mojej najdroższej Galicyi wschodniej. Chyba, że los wojny odbierze te ziemie,

w co nie wierzę. Jeżeli coś nadzwyczajnego nie zajdzie: głód w Austryi i w Niemczech, rewolucya w Rosyi, zaraza wszędzie albo wmieszanie się neutralnych, to przewiduję jako wynik wojny odstąpienie lewego brzegu Wisły na podział między Niemcy i Austryę za Galicyę wschodnią. Nie widzę dotąd perspektywy na odebranie Galicyi wschodniej.

A w takim razie na pół zruszczeni Polacy w gminach o przeważającej większości ruskiej przyjdą na Rosyan. Będzie to w sumie olbrzymia strata w polskim stanie posiadania. Przez głupią bezmyślność od stu lat z góry ponieśliśmy tych strat tak wiele, że śmiało mogę połowę Rusinów wschodnio galicyjskich uważać za potomków Polaków, zruszczonych przed dziesiątkami lat. Ta liczba renegatów polskich niewinnych, bo wina leży po stronie inteligentnej rządzącej dotąd sfery Polaków zostanie znowu wzmocniona. Gorsza jest, że ci z polskiej krwi pochodzący Rusini wnoszą największy rozum stanu, dojrzałość polityczną, zapobiegliwość gospodarczą w ciemne ruskie masy i Ruś bija nas dotąd nie przez siebie samych, lecz przez polskie siły, przez janczarów, poturczeńców polskich. Oleśnicki, Okunewski, Gładyszowski: wszystko co myślało i pracowało, to potomkowie polskich rodzin. Rozum przychodził od renegatów – i jakoby ci nowi przybysze chcieli wkupić się w Ukrainę, dokazywali zawsze dziesięćkroć więcej niż Rusini z dziada pradziada. Wystarczy porównać metropolitów: Kuiłowskiego i jego następcę zapaleńca Szeptyckiego.

Ukraińcy żyli nienawiścią do Lachów. Pod rządem rosyjskim oddadzą się Moskalom, aby móc popuścić folgę swojemu temperamentowi. Jak na Podlasiu, tak teraz w Galicyi wschodniej, dobrowolnie zgłoszą się na oprawców i katów polskiej ludności, albo tatynnyków i z pewnością żaden Tatar, Baszkir, a tem mniej Wielkoros setnej części tak wymyślnych prześladowań i zdrad nie potrafiłby wynaleźć, jakich używać będą ci z Ukraińców na Moskali nawróceni neofici narodowi. Zgroza pomyśleć, co się będzie działo w tym biednym kraju!

Wielu Polaków na wsi żeniło się z Rusinkami. Zwyczaje są dłużej trwałe niż język i państwo. Wszak Niemcy w Meklenburgu, Turyngii, Miśni, Brandenburgu zachowali przesądy i obyczaje dawnych tubylczych Słowian. Więc i obyczaj małżeństw mieszanych nie tak prędko ustanie. A dzieci będą wychowywane przymusowo w prawosławiu. Ile tragedyi tam będzie, gdy taki chłop czy kobieta Katolicy zobaczą swe dzieci przymusowymi schizmatykami! Była tam ziemia zameczków, tatarskich pobojowisk i mogił – teraz zostanie ziemią bezimiennych, bezcelowych, beznadziejnych męczenników....

Widzę już, jak z moich wychowanków, z dzieci mojego ducha, powstają rycerze i męczennicy o język polski w Kościele. Oni tę polszczyznę uważają za swoją świętą i ukochaną mowę, chociaż jej do żony i czeladzi nie używają. Jam w nich to ugruntował – ja zacząłem, a znalazłem potem współpracowników. Poleje się krew, posypią się razy, popłyną łzy, niezbierane, nieliczone, zapomniane, a bolesne. Nie wierzę w przyszłość Polski, bo ją Polacy własnemi rękami grzebią, nie wierzę w odpłatę, nagrodę i tryumf męczeństwa – więc mi się serce krwawi, więc dusza drze się w strzępy, i wyrzucam sobie tę pracę na wschodzie jako zbrodnię wobec ludzkości. Po co budziłem te uśpione instynkta, niewykiełkowane miłości? Za męczeństwo nic im nie dam, nic obiecać nie mogę. Podlasianie przebyli męczeństwo krwawe, a zato po odłączeniu ich od Królestwa przyszli pobratymcy Stapińskiego i podkopując religię czynią dawniejsze ich bóle i trudy walką z wiatrakami, przedsięwzięciem Don Kichota. Tu choćby tysiące męczenników poległo, choćby zbudowali z dusz swoich wał nieprzebyty, w chwili dziejowej garść smarkaczy lub aferzystów sztreberowskich zaprzeda ich, zapomni o nich, jak teraz Tymczasówka zapomniała o Wielkopolanach. W „Polen" oblicza się każdy ułamek Polaka na Żmudzi, w Smoleńsku i w Kijowszczyźnie, a przemilcza się, że pod panowaniem pruskiem żyje prawie 5 milionów Polaków, nie kolonistów ale autochtonów od bajecznych czasów – bo takie przypomnienie postawiłoby kanalie na jednem stanowisku z denuncyowanymi wszechpolakami. Dziś jest moda zapominać o Polakach nad Odrą i Wartą – w najbliższej przyszłości będzie modą zapomnieć o Polakach nad Sanem, Dniestrem, Bugiem, Prypecią i Niemnem. Szkoda mąk, łez i krwi, jaka w Galicyi wschodniej popłynie, bo się jej kanalie polskie zaprą, dorwawszy się do monopolu przez zawieszenie uczciwych gazet i zamknięcie uczciwych ludzi.

Chciałem obudzić i uświadomić polskość w tamtych ludziach, pracowałem i to mi się częściowo udało. Ale gdy pierwsze przeszkody zostały złamane, gdy pracownicy nad ludem zaczęli wchodzić w modę, zaraz wtargnęła do tej pracy chmura karyerowiczów politycznych. Socyaliści w Karzanówce, stapińczycy w Draganówce i Płotyczy zaczęli podkopywać solidarność narodową, a na jej miejsce stawiać solidarność chłopską polsko-ruską i równocześnie wykorzeniać religię. Jeżeli mieszkańcy tych gmin, z których pragnąłem stworzyć ostoję nacyonalizmu i wzór gospodarczej zapobiegliwości w każdym kierunku, teraz nie wytrwają, jeżeli padną pod pokusą moskiewską i rozniosą zły przykład zaprzedaństwa, to Stapiński, Wąsowicz, Kwieciński powinni iść na szubienicę

narodową. Ale jeżeli inni zdobędą palmę męczeńską na nic zupełnie – to co mnie się należy, który w nich obudziłem ducha, idącego na męczeństwo bez chwały, bez nadziei, bez potrzeby i pożytku narodowego!

Chciałem też wzmocnić polskość przez umiejętną kolonizacyę i zasilenie tamtejszej ludności osadnikami z zachodu, mówiącymi tylko po polsku. Obmyśliłem plan, sposoby działania, napisałem statuty, zrobiłem wszystkie przygotowania, a p. Srokowski zażądał, abym tę robotę oddał Kołu T.S.L. w Tarnopolu. Oddałem, bom pragnął, aby rzecz była zrobiona, a nie sława mojej pomysłowości. Zapowiedziałem, że w razie żądania złożę mandat, spensyonuję się jako profesor, a obejmę generalny sekretaryat „Ziemi Polskiej", bo wiem jak robić, dlatego; żem to wymyślił i obmyślił. Żal się Srokowskiemu zrobiło, żeby to o Zamorskim miał świat gadać – wypenetrował dzień, na który zapowiedziałem się gdzieś w Galicyi zachodniej i nie uwiadomiwszy mnie nawet, zrobił zebranie założycieli we Lwowie, powybierał do zarządu same ekscellencye i wielkie ryby, mnie pominął – i przez trzy lata „Ziemia Polska" skonstytuowawszy się, nie dała znaku życia. A teraz wojna, więc może i zapomnieli członkowie zarządu, że mają godności, skoro ich ani razu nie wykonywali. A ja się do tej roboty paliłem i przez owe trzy lata byłbym z pewnością kilka tysięcy Mazurów porozmieszczał na wschodzie. Może to i lepiej, że o mnie zapomniano i nic nie zrobiono. Taka praca jest skuteczną, gdy się ją konsekwentnie prowadzi przez dziesiątki lat. Tymczasem wojna byłaby ją przerwała u początków. Niemniej jednak zazdrość w takiej pracy, cecha specyficznie polska, jest najzgubniejszym objawem, który krocie razy obserwowałem, jeżdżąc po kraju. Ach! wszystko idzie w dyabły na jednym końcu –

A na drugim równocześnie z rosyjskiem ogłosili Prusacy w Wielkopolsce i w guberniach zajętych Królestwa, że nie wolno pisać listów po polsku – wolno po niemiecku, francusku, angielsku i hiszpańsku. Jest to postęp w robocie hakatystycznej. Przed wojną i przez 8 miesięcy wojny jeszcze wolno było pisać po polsku – teraz zakazuje się pisania listów, potem zakaże się drukowania gazet i książek, a w końcu mówienia po polsku w domu. A p. Koś Srokowski zarzucał nam, że już do szkół ludowych w Prusiech wprowadzono język polski, zaklinał się, że po wojnie ziemie polskie dostaną tam autonomię na wzór galicyjski – przemilczał chrzest Kalisza, Łodzi; usprawiedliwiał bezwzględnie oporne stanowisko sejmu pruskiego i parlamentu rzeszy w sprawach

polskich i miesza Niemcy z Polską. Doszło do tego, że w Naprzodzie i w Reformie donoszono o niemieckich zwycięstwach w Belgii, jako o „naszych" sukcesach, a Kraków śpiewał: Heil dir im Siegeskranz, aż mu zęby trzonowe było widać. Ktoby zaś śmiał sprostować choć jedno z tych kłamstw, bywał przez „tymczasowych" Polaków denuncyowany jako moskal i zdrajca stanu.

Te łajdaki i dziś nie nawrócą, bo nie mają sumienia narodowego. I będą łgać dalej, zatajać przed czytelnikami rzeczy, z których się Niemcy publicznie chełpią, bo tylko tą drogą mogą ściągać składki z narodu i spodziewać się łapówki od rządu. Ale coś mi się wydaje, że i rząd zaczął poznawać się na ich wartości – a gdy rzecz dojrzeje, dostaną po pyskach, co im się słusznie należy.

Jak widziałem, pisałem, przepowiadałem przed wojną, tak się dzieje i ze strony rosyjskiej i z pruskiej. Austrya uczciwie i poczciwie rzecz bierze w tym kawałku Królestwa, który zajęła. Ale co z nią będzie? Czy się nie spełni moja przepowiednia z początków wojny, że w razie niepowodzenia, Niemcy wydadzą monarchię na rozbiór, byleby siebie ratować? Coś się na to zanosi.

20. IV.

We wtorek 13 bm. doniósł mi Bieniowski, a w sobotę 17 bm. Rymar, wracający z Wiednia do Krakowa, że mam być wkrótce wolnym. Dziwna rzecz; wmyśliłem się, wczułem i wżyłem tak we więzienie, że nie pragnąłem żadnej zmiany i nie tęskniłem za wolnością, póki trwa wojna. Zgodziłem się być z losem. Myślałem, że wolności nie potrzebuję, póki nie będzie pokoju. Tymczasem okazało się inaczej. Gdy mi Bieniowski zwierzył, że mam wkrótce wyjść, rozebrało mnie tak, że prawie całą noc z wtorku na środę nie spałem; potem przyszło roztrzepanie, zdenerwowanie, chęć natychmiastowego opuszczenia murów i nie byłem zdatny ani do czytania, ani do pisania – do niczego. Milczałem też i nie pisałem nic. Dokładniejsza relacya Rymara doprawiła reszty.

Dziś wracam do równowagi. Rotmistrz zapowiedział mi, że jutro lub pojutrze dostanę inny pokój, większy, z normalnemi oknami. Teraz się go czyści. Gdybym miał być wolnym, nie robiono by mi wygody. W tych przenosinach i zapewnianiu wygody jest najlepszy dowód, że w kozie zostanę bodaj do końca wojny. Zdenerwowanie minęło – jestem spokojny i zgadzam się ze smutkiem ale bez żalu z moim losem. A więc siedzimy i piszmy.

N. Reforma 194. „Henryk Kryciński podof. rachunkowy strzelców polnych poszukuje swej żony Antoniny z domu Michałowicz z Tarnopola." Czyżby uciekła przed mężem?

—

21. IV.

Co za nikczemność i zatarcie wstydu, wszelkiej godności narodowej i osobistej! Oto pięciu panów z p. Germanem na czele, wyjechało z ramienia Koła wiedeńskiego i tz. N. K. N. do Berlina, ażeby tamtejszych posłów polskich nakłonić do głosowania za budżetem pruskim, w którym są miliony kredytów, przeznaczonych na wytępienie polszczyzny w Wielkopolsce i w Prusiech. Na szczęście Wielkopolanie nie ulegli jeszcze bzikowi i wyprawa spełzła na niczem.

Ale nie o skutek chodzi, tylko o sam zamiar. Co mogło skłonić tych panów do kroku, za który mogli od rodaków spodziewać się plunięcia w twarz? Wzgląd na interes i potrzebę monarchii stanowczo nie. Monarchia ani się obawia, ani życzeń żadnych nie przywiązuje do stanowiska posłów polskich w sejmie pruskim, czy w sejmie Rzeszy. Jakkolwiek Polacy tamtejsi odnoszą się do tamtejszych Niemców, ten stosunek nie wpływa bynajmniej na stanowisko tutejszych Polaków do monarchii. Więc wyższy interes monarchii nie grał w tem przedsięwzięciu żadnej roli.

Czy może teraźniejszy rząd tego sobie życzył? Wątpię. Jeżeliby rządowi austryackiemu zależało na sposobie głosowania Polaków w Prusiech, miał bardzo dobrą drogę: znieść się z rządem pruskim, nakłonić go po przyjacielsku do skreślenia pozycyi antypolskich z budżetu, a wtenczas bez najmniejszej wątpliwości Polacy tamtejsi byliby głosowali za budżetem. Takie pośrednictwo postawiłoby sprawę dwuprzymierza i w świecie i w domu niezwykle korzystnie. Prasa dwuprzymierza pisze ciągle o sprawiedliwości, o ideałach itp – a świat cały wie, że jeden ze sprzymierzonych wydał nieubłaganą, planową tępicielską walkę przeciw plemieniu, zagarniętemu gwałtem, które się o honor pruskiego poddaństwa nie ubiegało. I świat cały ma prawo obawiać się, że zwycięstwo i rozszerzenie Niemiec jest równoznaczne z rozszerzeniem metod tępicielskich na dalsze niemieckie plemiona, któreby nieszczęsną koleją wojny dostały się pod niemieckie panowanie. Ustrzeżenie

Niemiec przed tym rządem świata i udzielenie dzisiejszemu stanowisku niemieckiemu znamion walki o sprawiedliwość i możność rozwoju byłoby ze strony rządu austryackiego naprawdę aktem wielce przyjacielskim, niebywałą przysługą. Jeżeli rząd austryacki tego nie zrobił, to widocznie nie mógł, widocznie trafił po drugiej stronie na nieprzejednaną, tępicielską, krzyżacką butę.

Ale też ten rząd żadną miarą nie mógł zwracać się do posłów polskich we Wiedniu z żądaniem, aby oni nakłonili swych rodaków znad Warty do całowania Kańczuga, który ich grzbiety krwawi, do załzawionej prośby o wzmocnienie tego Kańczuga, bo dotychczas za mało bolał, za mało orał skórę.

Nie zrobił tego rząd austryacki nie z poszanowania dla Polaków – blokowe Koło nauczyło go, że nie chce szacunku, że prosi się o plucie w twarz i o kopanie. Gdyby rząd austryacki chciał wyrobić sobie przekonanie o Polakach, to patrząc na swoje owieczki we Wiedniu, nie mógł nabrać innego przeświadczenia, jak, że Polacy to kanalia nikczemna, pragnąca jak najrychlej wynarodowić się. Fałszowanie opinii światowej przez wiedeńskich Polaków, wywodzące, że w Królestwie mieszkają moskalofile, ludzie zakochani w knucie, nikczemnicy gryzący rękę, która chce zerwać ich obroże, mogło już wywołać wrażenie, że Królewiacy nie ustępują w podłości galicyjskim blokowcom. A to jest już prawie 9/10 plemienia polskiego – stąd wniosek, że całe plemię jest zgniłe. Stąd wniosek, narzucający się obecnie, że i Wielkopolanie z utęsknieniem oczekują chwili, kiedy będą mogli zostać Prusakami z języka i wiary, że cieszą się, iż środki germanizacyjne okazują się tak skutecznymi, że zatem pracują głową, jakby tym środkom jeszcze większą i szybszą skuteczność zapewnić.

Po tych orgiach kłamstwa, obłudy, oszczerstwa, denuncyacyi i nikczemności umiłowanej przez blokowców dla tego, że jest nikczemną, żaden człowiek obcy, mający wszystkie klepki, nie mógł nabrać poszanowania dla narodu polskiego. To też i rząd austryacki tego poszanowania mieć nie może.

I nie z szacunku dla Polaków nie wpływał na nich, aby jechali do Berlina, ale z obowiązków przyzwoitości wobec sprzymierzeńca. Taka delegacya z ramienia rządu austryackiego świadczyłaby, że na pewną część pruskich poddanych rząd austryacki ma większy wpływ niż w Prusiech. To się z pruskiem zwierzchnictwem i panowa-

niem nie da pogodzić. Przypuściwszy jednak, że tak jest w istocie, to wzywanie tego wpływu byłoby niedozwolonem mieszaniem się w sprawy wewnętrzne sprzymierzonego państwa, na co Austrya odważyć się, a Prusy zezwolić nie mogą.

Na tego wycieczkę tych pięciu panów uważam za własną inicyatywę blokowców, a nigdy za krok, uczyniony na życzenie rządu. Nie wiem, czy p. Jaworski znajdował się w tej piątce – bezwstydnym na to jest dosyć, ale myślę, że razem z Bilińskim jest jednak na takie podłe a niepewne przedsięwzięcie zbyt przezornym. Zdaje mi się, że raczej go w Berlinie nie było. Ale nie wiem. Muszę nazwiska tej piątki wydostać.

I teraz należałoby zważyć, jakie motywa kierowały tymi panami? Szukam, analizuję, próbuję się wmyślić w ich sposób rozumowania i prócz bezdennej podłości i bezwstydu, połączonego z głupotą, nic znaleźć nie mogę. P. Biliński chce dochrapać się I. rangi, bo drugą już ma od dawna. Nie ma nadziei zostania ani prezydentem ministrów, ani ministrem spraw zewnętrznych w Wiedniu, więc patrzy, czy nie zostanie polsko austryackim premierem bodaj w Miechowie, skoro do Warszawy trudno się dostać, a ponadto nie wiadomo, czy jej Prusacy nie zabiorą. Pierwsza ranga u tego człowieka jest chorobą i marzeniem, celem i życiem, zbawieniem. To przypomina historyę Króla Poniatowskiego, któremu cyganka w dzieciństwie przepowiedziała koronę, a on tak się tej myśli uczepił, że nie było podłości, którejby ten zresztą uczciwy i rozumny człowiek dla osiągnięcia swego celu nie zrobił. Bilińskiemu musiał ktoś przepowiedzieć I rangę i dziś ten z natury dobry i bardzo rozumny człowiek wyzuł się z polskości, potargał wstyd i godność, a ponieważ jest staruszkiem i może od czasu do czasu obawia się śmierci, więc spieszy się do tej rangi przez błoto i nikczemność. Jaworski chce być jakimkolwiek ministrem, German bodaj tajnym radcą, Daszyński potrzebuje pieniędzy.

Ci więc panowie łasili się, lizali rządowi – ale tymczasem zostali tylko sobakami nawet bez złota na obroży. Obiecywali rządowi powstanie w Królestwie – gdy to zawiodło, przyrzekali poddanie się Królestwa. Tymczasem tam, gdzie rząd lub wojsko austryackie wstąpiły same, bez pośrednictwa tych

panów i ich naganiaczy, ludność do tygodnia nabierała zaufania i sympatyi dla rządu austryackiego. Natomiast tam, gdzie ci panowie przez swoich komisarzy i strzelców przygotowywali ludność na austryacką okupacyę, tam trzeba niezwykłego ojcowskiego postępowania jenerałów, aby z zahukanej przez smarkaczy i niepoczytalnych wartogłowów ludności wykorzenić nieufność i niedowierzanie. Nie wiem, czy rząd o tem wie. Zdaje mi się, że wie, bo teraz pozwala tym panom pyskować w „Polen" w Reformie i Naprzodzie, ale robi w Królestwie swoje i ich się nie pyta. W ten sposób szybko dojdzie do ładu, o ile nie ulegnie ich naciskowi i Bobrzyńskiego nie zamianuje szefem rządu cywilnego na Królestwo. Wtedy trzeba będzie dziesiątek lat na odrobienie złego.

Musieli ci panowie blokowi zauważyć, że oddalają się od orderów i korzyści, więc padli aż na taki bohaterski pomysł — przyłożyć się Prusom. Może tam ocenią ich zasługę, pochwalą przed rządem austryackim, a ten przecie może pod pruskim wpływem dać potrzebującym grosz, a łakomym tytuły i pensyę.

Po cóż jest wojna? Monarchowie i rządy przeprowadzają swoje wyższe cele, które do zwężonych przez łakomstwo i podłość mózgów nie wlazą. Ale przy tej sposobności spryciarze dostawcy zarabiają miliony — dla czegóżby ci panowie nie mieli zarobić tytułów i pensyi? Dostarczają więc fałszywej opinii publicznej, denuncyacyi, zapału, a wierzą, że dostarczają i krwi polskiej. Te dostawy nie przyniosły im spodziewanych zarobków. Więc postanowili jeszcze więcej przypodchlebić się, przymilić, powdzięczyć do rządu pruskiego.

Tem postanowieniem poza podłością i łakomstwem utwierdzili ich cynizm naiwny, tak naiwny, że rozbrajający. Powiedzieć Wielkopolanom: Co wam szkodzi głosować za kredytem na batog dla was? Wszak batog tak czy siak będzie, bo go swojem głosowaniem nie zniesiecie, a za waszą zgodę na narzędzia tortury dla was, nas kilku może dostać ordery, tytuły, pieniądze. A ponieważ są mistrzami w używaniu świętych haseł celem pokrycia własnej zgnilizny, więc niezawodnie zaspokojenie swojego łakomstwa ubierali w szaty patryotyczne, w pomnożenie znaczenia Polaków na świecie, w rozszerzenie polskich wpływów itp. Czyli: Polska zyska, gdy się Daszyńskiemu załatwi zakupno jakiegoś Rytra, a innym panom dostęp

do tajnego radcowstwa, rang i orderów.

Biedni ci Wielkopolanie! Ostatnim wysiłkiem toczą walkę na śmierć i życie, walkę jakiej świat nie zna i dzieje nie zapisały – a gdy ich rozpacz i beznadziejność chwyta, pocieszają się tem, że za kordonem jest więcej Polaków, większa siła, a zatem i oparcie i nadzieja. I oto w tej przełomowej chwili przysyłają zakordonowi Polacy swoich przedstawicieli z pociechą, z radą, ze wskazówką. Są to z pomiędzy zakordonowych ci, którym myśleć i działać wolno i którzy przez pół wieku swobody mieli możność wydoskonalenia w sobie cnót obywatelskich, utworzenia wzoru Polaka wystawowego, na pokaz, jakimi Polacy byliby mogli, gdyby im wolno było swobodnie rozwijać swoje właściwości narodowe.

I ci „najdoskonalsi" Polacy, rozwinięci we wszystkich kierunkach, przychodzą do swoich ciemiężonych rodaków, do tych męczenników, wyczekujących chwili ~~pragn~~ wyzwolenia, a tak pragnących bodaj kropelki pokrzepienia w mękach, i zamiast otuchy mówią im: „co? Polska? Żaden rozsądny człowiek przecież tego na serjo nie bierze. Chyba dzieci". No więc garść naszych dzieci poszła w ogień, aby sobie dać przetrzepać portki. Ale zato na Polsce można u nas robić interesa. I my przyszliśmy do was prosić, abyście nam geszeft ułatwili. Wkupujemy się rządowi, przypochlebiamy, wdzięczymy się jak psinki do miseczki z osypką, a ten rząd twardy i nieużyty. Połowę kraju zadenuncyowaliśmy jako zdrajców, osadziliśmy moc innych Polaków po więzieniach – na nic. Rząd austryacki nie umie szanować i honorować szpiclów. Chcielibyśmy więc pochwalić się, że na was mamy wpływ, aby nam przecież coś z góry kapło – wy dobre dupy, nie będziecie nam przeszkadzać."

Ile obrzydzenia wymiotowego musieli doznać biedni Wielkopolanie.

Nie wiem, czy ta blokowa piątka pochwaliła się przed austryackimi ministrami swoim zamiarem. Jeżeli tak, to chyba ministrowie musieli po ich odejściu wietrzyć pokoje i żałować sobie, że żadnemu Polakowi nie podadzą ręki bez rękawiczki. Gdybym ja był ministrem, takbym zrobił – a już żadnemu Polakowi nie wyrobiłbym audyencyi u cesarza, bojąc się, że popełniłbym obrazę majestatu przez napuszczenie plugastwa do cesarskich komnat.

Podobno Głąbiński radził Wielkopolanom, ażeby z tych blokowych głosów nic sobie nie robili, tylko postąpili tak, jak im ich godność nakazuje.

Jeśli tak, to German powinien był go w tej chwili zadenuncjować do policji pruskiej, a byłby został w stylu własnym i w stylu strzelców, którzy ten proceder uprawiali od Częstochowy do Kielc. Widocznie brak nikczemnikom konsekwencji nawet w podłości.

W tym wypadku wstyd bierze wspominać słowo: godność narodowa. Mniej naszą godność poniewierają brazylijscy Portugalczycy, którzy w swoim języku stracili wyraz: Kurwa i od dziesiątek lat to pojęcie zastępują całkiem skutecznie wyrazem: Polka — mniej niż wybrani przedstawiciele polskiego narodu. Tutaj pisać wywody o czci, o honorze, o ratowaniu godności jest przedsięwzięciem tak nie na miejscu, tak przyciągniętem z innego świata, że zrobiłoby to samo wrażenie, co przemawianie w sanskrycie do zwardońskiego górala. To są ludzie, którzy straciwszy wstyd, honor i godność, zapomnieli nawet tych wyrazów i słuchaliby ich jak małe dziecko grzechotania szklanego kurka. To stracony trud.

Na tośmy zeszli!...

Bo w tej nikczemnej podłości jest także i ogromna bezmyślność. Ci panowie ułatwili sobie zawiłe hasłem: ten jest naszym przyjacielem, kto bije Moskali. W myśl tego uproszczonego hasła zapomniano nietylko o Wrześni, o ustawach językowych, Komisji Kolonizacyjnej, wywłaszczeniu i całej Golgocie pruskiej, ale dla ułatwienia zapomniano, że pruscy Polacy chcą Polakami pozostać. W „Polen" przy obliczaniu Polaków w Europie zapomniano o Polakach z zaboru pruskiego. I tak wygodnie było tym ichmościom pisać o niemieckich zwycięstwach, jako o „naszych", przemilczać owe urągowiska pogardy i lekceważenia, jakie tamtejszych Polaków spotykały od rządu pruskiego i od Komendy armii, że w ostatniej chwili z niesmakiem przypomnieli sobie, iż tam Polacy są i mają własne zdanie. Niekochający ojczyzny blokowcy zżyli się przez czas wojny z myślą, że w Niemczech Polaków nie ma, bo zostali przez nich podarowani, odstąpieni bez prośby, kontraktu i ceny kupna — odstąpieni tak jakby jakaś posiadłość na księżycu.

A tymczasem ci odstąpieni chcą mieć własny głos. To psuje rachunki. Trzeba do nich pojechać i wytłumaczyć, żeby głupstw nie robili, żeby się nie sprzeciwiali teraźniejszym i przyszłym ekscelencjom. Jakto? Śp. Biliński,

Jaworski, German, Daszyński uznali, że tamtejsi Polacy mają zostać Prusakami; nie wypada przeciwko tym panom kłamstwa zarzucać. To byłby brak dobrego wychowania. A przypisaćby blokowcom rachunki osobiste, aż strach. Przecież tamci Polacy nie odważą się stawać na przekór geszeftowi tych panów, bo mogą narazić się na ich zemstę — pięć milionów Polaków ma natychmiast zacząć mówić i czuć po prusku, ażeby za to pięciu panów mogło dostać tytuły i pieniądze.

Należy podziwiać bezczelność łapczywości u blokowców, którzy takie rzeczy nie już myśleli i wykonywali, ale pojechali owym milionom narzucać. Od Henryka Lwa czasów żaden ze zjedzonych ludów słowiańskich nad Salawą, Łabą, Hawelą i Odrą z pewnością nie przeżył tak nikczemnej, rozkładowej, butwiejącej chwili. Biada nam!

Niedawno dwaj złodzieje pojechali wobec prasy niemieckiej reprezentować Polskę w Berlinie, teraz pięciu ludzi bez czoła pojechało tamtejszych Polaków nakłaniać, aby zaprzestali przyznawać się do polskości w imię Polski.

—

Wesołe Polaki są z tych zachodniogalicyjskich przywódców opinii. Kiedy pracowałem na wschodzie, aby położyć kres ruszczeniu Polaków i wzmocnić nasze mniejszości, kokietujący z Rusinami socyaliści, ludowcy, żydodemokraci i stańczycy wieszali psy parszywe na mnie w prasie, na zebraniach a zwłaszcza w ukochanej przez nich broni: w denuncyacyach. Mój tytuł urzędowy był: hakatysta polski. Potem przeniosłem się do Białej, gdzie mnie „Czytelnia Polska" mianowała honorowym „szkodnikiem narodowym", jako że mącę harmonię między Polakami a Niemcami; zaś w Krakowie nazywano mnie nacyonalistycznym (w najgorszem znaczeniu) agentem i potępiono, bo Kraków nacyonalizmem się brzydzi. Kiedym zwracał uwagę na niemieckie niebezpieczeństwo, nie odpowiadano mi wprost, czy to niebezpieczeństwo jest czy go niema, tylko oskarżano o moskalofilstwo. Tak jakby obrona przeciw zalewowi germańskiemu była specyficznym rysem i potrzebą Moskali. Tymczasem Moskale narodowo nie są w sąsiedztwie Niemców — zatem walka z zalewem germańskim nie może być uważana za ich cha-

rakterystyczną cechę. Z Niemcami stykają się Polacy, Czesi, Słoweńcy - i Polak, pragnący ożywić samoobronę przeciw germanizacyi mógłby najwyżej zasłużyć na tytuł Czecho- lub Słowenofila, gdyby w polskiej polityce logika i rozwaga na cośkolwiek była potrzebną. Moim przeciwnikom był potrzebny zarzut moskalofilstwa dla mnie, bo stawiał mnie, o ile by mu dano wiarę, w pozycyi antypaństwowej, a przeciwnicy, nie mogący mnie pokonać własnemi siłami, mogli wtedy liczyć na pomoc okłamanego rządu.

Czasami nie brakowało liryki w tej walce. Blokowcy, po mojem usunięciu się z Tarnopola w 1911. w październiku, zaczęli mi przyznawać duże narodowe zasługi na wschodzie, biadali, że przez moje odejście praca się przerywa i w patryotycznem uniesieniu wzywali mnie do powrotu w strony, w których zdobyłem rycerskie ostrogi.

A więc póki tam działałem i byłem, moja obecność była drażnieniem Rusinów, stwarzaniem kwestyi ruskiej, uniemożliwianiem zgody narodowej - a moja działalność hakatyzmem, godnym większego potępienia niż hakatyzm pruski, bo ten polski hakatyzm wychodził od narodu w niewoli, który woła o sprawiedliwość dla siebie, a więc powinien pełnić sprawiedliwość wobec innych. Hakatyzm zaś jest wręcz zaprzeczeniem sprawiedliwości.

Kiedym przeniósł moją działalność na zachód, wtenczas wschodnie moje zbrodnie stały się czynami narodowymi, zasługą, tytułem do chwały w tych samych ustach. Za to zbrodnią został mój stosunek do Niemców na zachodzie.

Pragnę wejść w myśl tych panów. A więc na wschodzie poza Sanem nie mamy co robić, bo to kraj ruski. Każda próba pracy polskiej jest hakatyzmem, godnym potępienia przez Polaków. W myśl tej zasady Galicya zachodnia pozwoliła na zruszczenie mnóstwa Polaków na stokach Karpat od Sromowiec w powiecie nowotarskim przez Sądeczyznę, Gorlice, Grybów, Jasło, Krosno do Sanoka. Gdzie we wsi była ruska

cerkiew (a Rusini budują cerkwie dla 5 numerów we wsi) tam wedle krakowskiej recepty cała wieś jest ruska. I rzeczywiście do dziś nie wyglądają to Muszyńskie, Żmigrodzkie itd. z Krakowa, a Polacy oddaleni milami od Kościołów przechodzili na ruszczyznę. Dziś to podgórze jest jednolicie ruskie niż Pokucie, a z winy wielkich polityków krakowskich.

Niemczyzna zaś wedle krakowskiego pojęcia zaczyna się na zachód od Krakowa. Porządny Krakowianin, gdy siada na pociąg ku Wiedniowi, już wyjeżdżając za Łobzów nie gada z konduktorem inaczej niż swoją niemczyzną, od której zresztą mogą krowę tyrolską kolki zeprzeć. Biała naturalnie jest niemiecką, Żywiec też, a o Śląsk rozbijają sobie głowy tylko waryaci z Warszawy i Lwowa.

Gdzież więc jest Polska wedle wyobrażenia prawowiernego zachodni-ka? Próbuję sobie wyobrazić: Wierzchołek kąta jest w Tatrach, wraz z Zakopane to letnia stolica Polski dla spacerowiczów plantowych. Stąd jedno ramię idzie na Bochnię, a drugie na Dębicę. Czy Kraków jest polski? dwa są rozstrzygnięcia – jest on polskim historycznie w przeszłości, dziś ze względu na załogę wojskową jest mieszanym. Wprawdzie do Korpusu krakowskiego należą tylko Galicyanie, Ślązacy i Morawiacy – ale że wojsko powinno wedle krakowskich wyobra-żeń być niemieckiem, że słowiańskim językiem pośredniczącym jest niemiecki, więc Kraków mający honor być siedzibą Korpusu wojskowego musi być trochę mieszanym. Stąd przytułek dla wszyst-kich zakonnic utrzymujących niemieckie szkoły, stąd subwencya dla szkoły ewangielickiej niemieckiej. Więc dziś Kraków w oczach Kra-kowianina jest mieszany i stąd płynie dla niego chluba, bo go to łączy z Europą, nie tak jak dorobkiewiczowski, ruski Lwów.

Z drugiej strony nie można Rzeszowa wedle krakowskiej recepty brać za czysto polski, boć należał niegdyś do województwa lwowskiego, zwanego ruskiem, a ma w okolicy rozproszone ruskie

parafie. W Galicyi zatem Polska rozszerza się od Bochni do Dębicy i idzie skokiem na Mielec, Kolbuszowę do Tarnobrzega i Rozwadowa. I już.

Ci zachodni Galicyanie wyrzekli się Polaków ze Śląska, Poznania i Prus – wyrzekną się zaraz Kalisza, Łodzi, Płocka, Ostrołęki dobrowolnie. Moskale zaś odbiorą im Polaków z Przemyśla, Lwowa, Lublina i t.d, a wtedy zachodnio galicyjscy Polacy powiedzą, że są wielkim narodem. Naprawdę rzec zatamać przychodzi. Ponieważ uważam pracę moją na wschodzie za straconą, nie mogę obronić się myśli, że powinien były[m] tych 15 lat pracować na zachodzie, ażeby z dwu milionów ludzi mówiących tylko po polsku, dokrzesać się choć kilku tysięcy Polaków. W roku 1911. gdym się puścił na objazd Galicyi zachodniej zobaczyłem, że ważniejszą i pilniejszą sprawą jest uświadamianie Polaków mówiących po polsku, niż budzenie Polaków, mówiących po rusku. Bo tamci, mówiący po rusku, już z urodzenia byli naprawdę lepszymi Polakami niż ci.

Kurczy się więc ojczyzna w rzeczywistości, ale skurczyła się już dawno i jeszcze znaczniej w sercach tych, którzy jako niepomieszani z innym narodem, do walki o byt narodowy nie zmuszeni, powinni być jej rozumnożycielami. Po tej wojnie oni zostaną na placu, a stąd dalsze kurczenie aż do zniknięcia ojczyzny jest tylko kwestyą czasu.

—

W tej chwili widziałem osobliwą scenę, będącą jednak odblaskiem wojny. Z mojego okienka widać Polską Ostrawę, rzekę Ostrawicę, ulicę nad rzeką, sztachety i przed nimi zagon uprawny. Ale zagon nie sięga do samych sztachet, bo miedza jest podniesiona i na niej zazieleniły się płaty trawy, poprzerywane nieokrytą ziemią. Na tę trawę wprowadziła dziewczyna może 14 letnia konia. Piękne miał niegdyś kształty ten ciech, zapewne należał do cugowych. Dziś wynędzniały, żebra widać wszystkie, na grzbiecie białe podłużne plamki, zapewne ślady ran lub otarcia. Jednem słowem ruina, ale ruina świadcząca o świetnej niegdyś przeszłości. Musi to być koń, uznany przez

wojsko za niezdatnego i odprzedany dla celów rolniczych. Z dziewczyną przyszło czworo dzieci w wieku mniej więcej od 5 do 9 lat. Wszystkie zakochane w Koniu, uprzejme dla niego jak dla rannego członka rodziny. Wciera mu się pod pysk, pod nogi, a biedaczysko nie z litości, tylko z niemocy nic innego nie czyni, tylko się pasie. Dzieci chcą mu karmienie się ułatwić i rwą ledwie wykłutą trawę garstkami, znoszą mu pod pysk, aby sobie podjadł. Widocznie nie wiedzą, że Koń trochę inaczej się karmi niż krowa i że naraz wielkich pęków trawy spożyć nie może. Ale ta natarczywa zabiegliwość dzieciak jest pocieszna, a niemoc i delikatność Konia, który dzieciom na wszystko zezwala, jest rozczulająca. Swoją drogą, biedny konisko na zbytniej gorliwości źle wychodzi. Dziewczyna pełniąca rolę pasterki co raz odkrywa kępkę trawy, która jej się wydaje obfitszą od dotychczasowej i ciągle odrywa szkapę od jednego miejsca, gdzie się pasł z apetytem, w inne niby to lepsze. Za wiele gorliwości może Konisko głodnym zostawić.

Ta gorliwość dzieci i potulność zmizerowanego Konia, to jest prawdziwy wojenny obrazek. Nie umiałem go przedstawić wyraźnie, ale na mnie zrobił mocne wrażenie.

—

22. IV.

Wczoraj miał być rozstrzelony młody żołnierz, nie wiem jakiej narodowości, za dezercyę z frontu. Nagle przyszła wiadomość, że go Komendant ułaskawił i karę śmierci zamienił na 2 lata więzienia. Potwierdza się wiadomość, że przyszedł rozkaz łagodniejszego stosowania artykułów wojennych. Wobec tego wszystkie dotychczasowe wyroki oprócz wykonanych wyroków śmierci, będą musiały uledz rewizyi, bo nie ma w karach dawniejszych żadnej proporcyi z dzisiejszemi. Za drobnostki otrzymywali ludzie po 12 lat więzienia, gdy za jedną z największych zbrodni wojennych za dezercyę, dostaje się teraz 2 lata. Swoją drogą dezercya musi się szerzyć w sposób zastraszający. Co raz przychodzą do więzienia konwoje młodych żołnierzy, przeważnie bardzo ładnych chłopców, a gdy się spytać, co zbroili, dostaje się zawsze odpowiedź: zdezerterowali.

—

Kult powstań, wywoływanych nie w porę, bez najmniejszych widoków powodze-
nia, nawet bez zastanowienia się nad celem, możliwym wynikiem i skutkami,
czyli kult samobójstwa narodowego w Galicyi można porównać tylko z daw-
nym kultem liberum veto.

Oba kulty miały w zasadzie pewne słuszne podstawy. Prawo veta było
źle zastosowaną formą poszanowania mniejszości, zabezpieczenia praw
ziemi, powiatu
obywatela jako jednostki. Kult powstań opiera się na słusznej ze wszech miar
zasadzie, że Polski gotowej nikt nam w prezencie nie da, że trzeba ją wypracować,
i że wolność zdobywa się tylko z bronią w ręku.

Obie te słuszne zasady zostały przez bezmyślność, frazes i geszefciarstwo
wypaczone, wykrzywione, zwyrodnione do form, nad którymi każdy my-
ślący człowiek załamuje ręce i powiada: choroba takie przybrała rozmiary,
że najcudowniejszy lekarz tu już nic nie pomoże.

Przez sto lat patrzono, i ze smutkiem ale i z dumą na zrywanie sejmów
przez najemne indywidua i pijanice, czasem odczuwano nawet, że ta
zagwarantowana swywola jednostki jest najstraszniejszą niewolą dla
ogółu, ale przesąd zakorzeniony, frazes najgłupszy i najpłytszy ze wszystkich,
jakie ludzkość przez cały ciąg dziejów wydała, frazes, jakoby veto było źre-
nicą wolności, pupilla libertatis, nie pozwalał nikomu ocenić wartości
tej średniowiecznej zdobyczy i Polska toczyła się własnym ciężarem do przepaści.

Przez drugich niecałe sto lat patrzono ze smutkiem i z dumą na zry-
wanie się młokosów do bójki, nieobmyślanej, nieprzygotowanej, wywo-
łanej frazesem o dokumentowaniu nieprzedawnionych praw, o tchórzostwie
tych, którzy chcieliby rzecz przygotować i w stosownej chwili wywołać, o zaprzań-
stwie, zdradzie, sprzedawczykowstwie każdego, kto walkę pragnąłby z dyplo-
matycznymi zabiegami połączyć, o potrzebie rozlewania krwi i o świętości
tej rozlanej zbytecznie krwi. Przesąd i frazes ma taką władzę, że gdy ktoś powie,
iż rok 1831 przyniósł stratę Rusi i skrępował możność rozwoju w Królestwie, a
rok 1863 wykorzenił polszczyznę z Litwy i uniemożebnił życie polskie w Warszawie,
to się go zaraz piętnuje ugodowcem, zdrajcą, sprzedawczykiem, gasicielem zapału

moskalem i szpiegiem. Kto oblicza straty narodowe i pragnie im na przyszłość zapobiedz, zasługuje na śmierć natychmiastową, jako zdrajca i szpieg. Świętość kultu leży w jego bezmyślności.

Przypominam sobie kilka chwil sprzed wybuchu wojny. Drużyny strzeleckie uważały się za niepartyjną, ogólno narodową organizacyę militarną. Ciężko im było trwać w posłuchu dla socyalistycznej komisyi tymczasowej, która zresztą każdej podkomendnej drużynie narzucała swoich czerwonych oficerów i podoficerów, aby mieć ludzi w garści. Drużyniacy zatem nawiązali stosunki z dawnym Komitetem obywatelskim Rady narodowej. Tam im oświadczono, że w zasadzie Komitet jest zwolennikiem walki orężnej, ale pod warunkiem, iż ta walka ma nadzieję przyniesienia jakiejkolwiek ulgi dla narodu lub jego części. Ten też Komitet wyda hasło do boju, gdy będą widoki, że taki bój może na coś się przydać.

W tej chwili Drużyniacy nawrócili do Tymczasówki. Oni chcieli za rząd swój tę organizacyę uważać, która ich najprędzej wyśle do walki. Gdy Tymczasówka czekała aż na wypowiedzenie wojny przez państwa, znowu im się sprzykrzyła, bo oni pragnęli zaraz z pięściami iść na Moskala. I znowu nawiązali stosunki z powstałym też przed wojną Centralnym Komitetem Narodowym. Ten oświadczył, że nawiązał rokowania z rządem austryackim, ażeby Austrya postawiła kwestyę polską – gdyby te rokowania odniosły skutek, natychmiast wyda hasło wojny i rozpocznie werbowanie w Królestwie. Ale czekanie na wynik rokowań, który mógł ~~być~~ wypaść na dwie strony, wydało się Drużyniakom zwłoką karygodną. I poddawszy się rano Komitetowi Centralnemu, po południu poddali się z powrotem tymczasówce, która swego hasła do wybuchu nie czyniła zależnem od żadnych rokowań, a więc nie miała w zanadrzu możliwości wstrzymywania wybuchu.

Cóż więc było celem tych młodzieńców? Polska? bynajmniej, bo nie chcieli czekać nawet tej chwili, w której się pokaże, czy Austrya zechce lub będzie mogła kwestyę polską jako międzynarodową postawić. Może polepszenie bytu narodowego? Także nie, bo według Drużyniaków ten kto oblicza widoki, kalkuluje i myśli, jest zdrajcą i moskalem. Celem ich

była bójka dla rozlewania krwi własnej, mniejsza o to, co z tej bójki wyniknie, czy polepszenie położenia narodowego, czy też nawet zatracenie i zguba narodu. Probierzem patryotyzmu było w oczach tej młodzieży jak najszybsze i najbezmyślniejsze przelanie krwi – czyli pospiech w samobójstwie. Ten był lepszym obywatelem patryotą, kto goręcej zachęcał do bójki i ubiegał innych w przyspieszeniu chwili wybuchu.

Ta zaraza sprzeczności ogarnęła i naszą młodzież. Widziałem jak nasi zwolennicy nie chcieli z nami gadać o położeniu politycznem w obawie, ażeby z tych kombinacyi nie wynikła potrzeba odwleczenia lub zaniechania bójki.

Bić się i ginąć – oto pupilla patriotizmi. A ktoby chciał potrzebę śmierci kwestyonować lub potrzebę bójki czynić zależną od pewnych warunków, ten był sprzedawczykiem i zdrajcą.

Z całego ogromu zabezpieczenia praw obywatelskich wybrano niegdyś liberum veto na źrenicę wolności i świętość nietykalną – z całego ogromu prac nad zaciąganiem podwalin narodowych i budowaniem przyszłości wybrano dyrektywę: bić się i zginąć jako probierz patryotyzmu, źrenicę polskości i świętość stoczoną przez najbardziej nieprzejednaną i niezmienną z religij, przez przesąd i zabobon.

Jest w tem główna wina lenistwa i bezmyślności polskiej. Polak nie chce pracować, nie chce groszami milionów składać, nie chce myśleć i zastanawiać się. Jest to najpłytsza i najbezmyślniejsza masa w Europie. To też zamiast pracy ma poryw chwilowy i dziesiątki lat letargu, zamiast planu stwarza sobie najpłytszy i najgłupszy frazes, a zamiast myśli ma najgłupsze hasło.

Mam wrażenie, że ci bitkowcy mogli byli z tą samą ochotą zginięcia iść na wojnę przeciw Prusakom. Dwa tylko względy skierowały ich przeciw Moskalom, a oba dadzą się sprowadzić do jednego, do pojęcia wygody jako lenistwa ducha. Wygoda podawała im wzór dawnych powstań, gotowe frazesy, przekleństwa, górne wyrażenia – nie potrzebowali suszyć sobie głowy nad określaniem swojej roli, celów, przyczyn, szczegółów porachunku. Wszystko to było już w literaturze i w historyi gotowe. Ubrać się w tamte pióra

a jest się Księciem Józefem, Czwartakiem, Sadlewskim, Mackiewiczem itd. To jest wygoda myśli, uwalniająca od potrzeby szukania frazesów i nowych określeń. A druga wygoda była w tem, że rząd austryacki byłby ruch przeciw Prusom zdusił, a już conajmniej karabinów nie dał i sposobność bicia się byłaby może minęła.

I jest w tem wielka ironia, świadcząca o bezmyślności całego ruchu, że „strzelcy”, uważający się za niepodległościowców par excellence, jako swoją rotę przysięgi wzięli pieśń Konopnickiej, wymierzoną przeciw Prusom za Wrześnię i wywłaszczenia: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród”. Z antypruską pieśnią na ustach, przed którą podobno wedle strzeleckich zapewnień Niemcy łódzcy i sosnowieccy drżeli i bledli ze strachu, poszli strzelcy jako pruscy sprzymierzeńcy pobić się z Moskalami. Jest w tem ironia tak zawstydzająca, że dopiero kiedy rząd austryacki związał wszystko w legiony i wprowadził w to kierunek, można o tym wstydzie i sromocie beznadziejnej głupoty zapomnieć.

Kult samobójstwa narodowego jest dorobkiem galicyjskim z XX wieku. W latach 70 i 80. wieku XIX. demokracya na złość arystokracyi święciła pamięć powstania listopadowego. Przyznawała, że było ono błędem, ale błąd ten przyniósł odrodzenie literatury, a raczej stworzył literaturę godną wielkiego narodu, a był odziany aureolą ostatniego występu wojska polskiego, wojska, które znowu było ostatnim zabytkiem utraconej wolności. Że zaś to wojsko świetnie się biło, więc w słońcu tych czynów rozgrzewała się zmrożona smutną teraźniejszością wyobraźnia. O powstaniu styczniowem mówili wszyscy jako o nieszczęściu, pewnego rodzaju dopuście bożym — a różnica między arystokracyą i demokracyą leżała w tem, że jedna potępiała to powstanie bez ogródek, druga usprawiedliwiała jego przywódców, jako swoich zwolenników partyjnych. O wzorowaniu się na tem powstaniu, o potrzebie jego powtórzenia nie mówił nikt.

Dopiero w latach 90 wieku XIX. zaczęło się zmieniać. Zdaje mi się, że książka Koźmiana przyspieszyła tę zmianę. Demokracya, która

przeszła w trombtadracyę, zaczęła nietylko bronić charakteru i intencyi tych, co powstanie wywołali, ale aby rozdział między konserwą i postępem zaznaczyć i nieprzebytym uczynić, w myśl hasła lutrowego: credo quia absurdum, postawiła to powstanie jako czyn wielki, przyspieszający wyzwolenie narodu, będący fundamentem przyszłości, jako wzór do naśladowania. Stało się to z początku przez kańciastość, na złość staruszkom, na przekór filistrom, pour épater le bourgeois.

Ponieważ w Polsce nie ma idyotyzmu, któregoby nie można narzucić jako zasadę, świętość, principium – byleby tylko idyotyzm był jasny i nie zmuszał do myślenia – więc na przełomie z wieku XIX na XX powstanie styczniowe stało się w opinii ogółu wzorem do naśladowania, hasłem, kryteryum patryotyzmu i demokratyczności. Ulegając prądowi Sokół polecił gniazdom święcenie pamiątki styczniowej na równi z Kościuszkowską. Sprawa była załatwiona, bo bezmyślność i płytkość uznały nieszczęście za źródło przyszłości, za przyszłość i przykład.

Sokół pragnął wmówić w siebie, że tworzy kadry przyszłego powstania, że jest kontynuacyą wojska polskiego. W praktyce był na przełomie obu wieków towarzystwem pogrzebowo pijackiem, kształcącem w każdem gnieździe od dwóch do siedmiu podrzędnych akrobatów. We frazesie jednak przedstawiał sam siebie jako miarę polskości, wykwit narodu, zbiorowisko tężyzny fizycznej i moralno obywatelskiej. Przewodnicy Sokoła liczyli zapewne na to, że przypomnienie początku towarzystwa, pochodzącego rzekomo z tradycyi żołniersko powstańczych, oraz nakaz święcenia pamięci powstania styczniowego, jako moralnego rodzica Sokoła, wprowadzi w życie stowarzyszenia więcej treści militarnej, karnej, narodowej i obywatelskiej. Z początku jednak zawiedziono się na tem.

Ogół przyjął apoteozę powstania jak wszystko bezkrytycznie i upatrzył w niem nie naukę, każącą naśladować sprężystość i dokładność organizacyi, karność, gotowość do ofiar i poświęceń, a wystrzegać się głupiego wybuchu nie w porę, aby nagromadzonych sił narodowych nie zmarnować na szkodę narodu – lecz uznał w tem wzór do naślado-

wania we wszystkiem, do kopii.

Gdy tłum kształci się na wzorze, wybiera z niego najjaskrawsze momenty, te które się dadzą zmanierować i powtarzać. To też z powstania styczniowego po przeprowadzeniu ułatwień, dyktowanych przez bezmyślną wygodę, została jako wskazanie na przyszłość tylko apoteoza ruchawki, której celem jest utracenie jak największej ilości żywotów, a chlubą utracanie życia w pięknej pozie. Dla masowego utracania żywotów piękną pozę i frazes obmyśliła już literatura po obu powstaniach – więc i tu nawet nie trzeba było suszyć sobie głowy nad obmyślaniem indywidualnej pięknej pozy. Wystarczyło ubrać się w gotową formę.

Uwielbienie dawania się zabijać masami czyli kult samobójstwa narodowego doszedł do zenitu w latach 1902 – 1906. W tym czasie jednak część społeczeństwa zaczęła pracować nie dorywczo, ale planowo nad zaciąganiem podwalin pod budowę narodu. Uświadamiano chłopa, robotnika, budowano kościoły, szkoły, bursy, czyniono wykłady, zakładano polskie kasy, handle, kółka: moralnie i materyalnie wiązano myślą narodową ten piasek sypki, jakim było dotąd społeczeństwo.

Próżniacy fizyczni i duchowi zaczęli tej robocie przeszkadzać, a na to miejsce wkorzeniać teoryę, pozwalającą na gnuśnienie, że najwyższym szczytem pracy dla ojczyzny jest pójść na bójkę i dać się zabić. Samobójstwo narodowe jako cel i podstawa rodzajna, tworząca przyszłość. Umrzeć za ojczyznę to hasło galicyjskie – nie: bić się i zwyciężyć, nie: odbić ojczyznę, nie pracować dla niej i żyć dla niej, nie stworzyć w niej wzór życia społecznego, obywatelskiego i kulturalnego.

Po wojnie zamierzam z całą zajadłością wystąpić przeciw tym leniwym, samobójczym hasłom. Zrobią mnie szargaczem świętości, znieważycielem mogił, opluwaczem krwi męczeńskiej i kto wie, czy nie wydadzą banicyi aqua et igni. Zniosę i to, jak zniosłem tyle oszczerstw, wyrok śmierci wydany przez tymczasówkę i napady bandyckie. Ale jeżeli naród ma żyć, to musi ocknąć się z tej samobójczej kołysanki, jak u schyłku Rzeczypospolitej warunkiem życia było ocknięcie się z kołysanki czterech źrenic wolności i potęgi polegającej na słabości, nierządzie i bezwładzie.

—

W dziejach Polski spostrzegam dwa zupełnie odmienne typy narodowe: praktyczny, czynny i twórczy typ piastowski, oraz płytki, fanfaroński, bezmyślny, puszący się typ pojagielloński. Pierwszy nazywam polskim, drugi litewsko ruskim. To co od Paska, przez trójcę poetów, Krasińskiego i Pola doszło do nas jako typ prawdziwego Polusa, to jest wypadkowa konglomeratu Rzeczypospolitej polsko-litewsko-ruskiej, gdzie właściwej polszczyzny prawie nic nie zostało.

Unia z Litwą jest więc granicą, przełomem. Zupełnie co innego było polskiem przed Unią, a co innego uznano za polskie po tej unii. Dlatego tamte czasy należy nazwać epoką Polski etnograficznej, albo też niedość ściśle piastowską, a drugą możnaby nazwać elekcyjną, albo też epoką Rzeczypospolitej.

Za czasów piastowskich widać w kierowniczych warstwach narodu: 1) ogromne poczucie jedności narodowej, 2) miłość wolności obywatelskiej i równości, 3) poczucie prawa, 4) rozum polityczny 5) wytrwałość w przeprowadzeniu zamysłów politycznych.

Jedność narodowa rozbijana po Chrobrym, po Śmiałym i Krzywoustym wypływa ciągle na wierzch jako kierownica, ilekroć znajdzie się potężniejszy władca. Do narodu polskiego zaliczano Słowaków, Morawian, Pomorzan i mieszkańców Galicyi wschodniej z Wołyniem i Podlasiem, gdy Ślązacy byli bez wszelkiej wątpliwości Polakami. Wkrótce jednak zaniechano morawskich Hanaków i Słowaków, ale zato po każdem uspokojeniu przy zmianie tronu występuje Pomorze i grody Czerwieńskie. Prusy i Branibor były bliżej, ale że ludy nie były polskiemi, więc chęci skierowane w tamte strony bywały rzadsze i miały znaczenie więcej polityczne niż narodowe.

Zdrowy instynkt, być może połączony z wielkim rozumem, jeżeli z celowości tych kroków zdawano sobie dokładną sprawę, nakazywał oprzeć budowę państwa na narodzie.

Ale aż do czasów Krzywoustego cokolwiek by się na pochwałę owych pokoleń dało powiedzieć, można to wszystko przypisać rozumowi jednostek to jest Królów, zwłaszcza Bolesławów i nie wyciągać stąd wniosków o usposobieniu społeczeństwa. Za to od chwili podziałów, społeczeństwo reprezentowane przez magnatów, bogatych w przywileje i znaczenie, dochodzi do głosu wbrew panującym. To społeczeństwo w pierwszym rzędzie zabezpiecza siebie przed despotyzmem. Jest niezwykle pouczającym widokiem, jak szlachta i magnaci w każdej trudności spadającej na Księcia, przy każdej zmianie tronu, starają się wywalczyć dla siebie jakąś nową wolność obywatelską, jakąś rękojmię prawa, chro-

nięcą przed samowolą. Pouczającym jest ten widok, jak ci poddani po uzyskaniu nowego rozszerzenia swobód skwapliwie w tym nowym terenie prawnym zagospodarowują się, wykorzystują go do ostatnich granic, jak czynem okazują, że do tych wolności dorośli i umieją ich dobrze używać. A po użyciu się z tem nowem rozszerzeniem swobody czyhają na sposobność do zdobycia dalszych przywilejów.

A równocześnie myśli ogólnej narodowo-państwowej nie tracą z oka. Oni wbrew testamentowi Bolesława Krzywoustego przeprowadzają obsadę stolicy wielkoksiążęcej w Krakowie, jako symbolu jedności państwowej i narodowej, oni w razie potrzeby wyręczają książąt w gromieniu nieprzyjaciela. Ich pragnieniem wolności nie było chęcią wyniesienia interesu jednostki ponad dobro państwa, całości, lecz tylko chęcią zdobycia praw obywatelskich, bo do obowiązków obywatelskich zawsze się poczuwali.

Jedność narodową rozbijali książęta panujący, którzy szli hołdować cesarom, a nawet królom czeskim, utrzymywali ją zaś wbrew książętom obywatele (magnates, barones, comites) i duchowieństwo, które się z tego stanu rekrutowało. Kiedy podziały doprowadziły do niedorzeczności w sproszkowaniu Polski na niezliczoną ilość „monarchii,” duchowieństwo jedno utrzymywało pamięć jedności narodowej przez odbywanie synodów z całej Polski i przez posłuszeństwo wobec arcybiskupa gnieźnieńskiego.

To też zaledwie tylko któryś z książąt okazał umysł wyższy, zmierzający do połączenia rozpadłych części w jedność, obywatele i duchowni zaraz podawali mu rękę pomocną, pod warunkiem, że im nie ukróci nabytych już praw, ale ewentualnie jeszcze pomnoży. Korzystali z tego usposobienia obaj Leszkowie, skorzystał Przemysław wielkopolski, pan Pomorza i przywrócił Królestwo w 1295. Po Przemysławie nareszcie do skutku doprowadził dzieło Łokietek, z pochodzenia inowrocławskie książątko.

Za mało wczytujemy się w ówczesne dzieje. A przecież była to straszna walka. Zazdrość książątek, które chciały pozostać udzielnymi monarchami, separatyzm prowincyonalny księstw, dochodzący do zaciekłości, opór Niemców, posiadających wszystkie miasta, a mających oparcie o zagranicznych rodaków: wszystko to czyniło przedsięwzięcie Władysława poprostu beznadziejnem. A przecież myśl narodowa, wierność magnatów i szlachty dla wspólnej idei i księcia, mogącego tę ideę urzeczywistnić zwyciężyły wszystkie przeszkody. Trzykrotna ucieczka Łokietka z kraju jest najlepszym dowodem wytrwałości

niezgięty tak u niego, jak u owianego myślą narodową rycerstwa. Królestwo polskie i naród polski zostały odnowione.

A do czego Polacy etnograficznie są zdolni, pokazały czasy Kazimierza. Drogo okupił pokój, ale umiał go wyzyskać i zostawił następcy możność odebrania strat. Bogactwo, oświata, potęga: oto wynik rządów Kazimierzowych.

Po jego śmierci władza przeszła właściwie w ręce szlachty, ale polskiej etnograficznie. Znamienne są pakta Koszyckie. Bosi, czy też w łapciach łykowych wielkopolskie szlachcice skarżą się na równi z małopolskimi panami prawdziwymi obywatelami. Umiano zabezpieczyć sprawność rządów ale i prawa obywateli i rozszerzenie granic z tamą przeciw samowolnym wojenkom.

Rozum stanu Polaków zajaśniał za Jadwigi. Wbrew testamentom i cesarskim gniewom wybrali najstosowniejszą osobę na Królowę, dobrali jej męża i rządzili za niego w ten sposób, że oprócz przyłączenia Litwy odzyskali część Prus. Dla syna Jagiełłowego stworzyli państwo oparte o trzy morza: Bałtyk, Czarne i Adryatyk. Władysław bowiem był także i Królem Węgier z Bośnią. Przez 70 lat bo od śmierci Kazimierza do zgonu Władysława Warneńczyka nie monarchowie rządzili Polską, ale obywatele — a jak rządzili, okazał skutek. Kazimierz zostawił Polskę zamkniętą Karpatami i Bugiem do Torunia na północ, a do Kalisza i Chrzanowa na zachód: Oni oparli ją o ~~Bałtyk~~ trzy morza, dołączając 5 razy więcej obszaru.

Po tem jednem można ocenić rozum stanu owych Bartków, Maćków, Spytków itd. To jest ten prawdziwy typ Polaka, jaki powinien się odrodzić, jeżeli chcemy jeszcze raz powstać. W tych olbrzymich przedsięwzięciach nie zapomnieli o ziemi Michałowskiej, Chełmińskiej, Dobrzyńskiej, szukali sposobności dla Śląska i Pomorza, bo ich jedność narodowa łączyła. Przy tworzeniu owych gigantycznych państw pamiętali o zabezpieczeniu Konstytucyi, czyli swoich praw obywatelskich. Z pełnym rozumem zabierali się do odebrania Krzyżakom nabytków i od Grunwaldu do Toruńskiego pokoju gotowali i prowadzili wojnę za wojną. Wytrwałość z jaką po jednej wojnie przeciw Krzyżakom myślano o drugiej, daje najlepsze świadectwo, że gdyby rządy były zostały w rękach wielko i małopolskiego rycerstwa, byłoby się Pomorze i Śląsk odzyskało. Ale już teraz Litwa zaczęła ciężyć i udaremniać wiele przedsięwzięć. A już za Zygmuntów widać zapowiedź tego co potem będzie, przy wolnej elekcyi.

Unię lubelską uważam za punkt zwrotny w wypaczeniu, skrzywieniu i ogłupieniu charakteru szlachty polskiej, które to wady po kilku wiekach przeszły i na resztę narodu.

Przez tę unię poddani książąt litewskich otrzymali od razu te wolności, które rycerstwo polskie zdobywało sobie stopniowo w ciężkim trudzie i z dokładnem zrozumieniem [illegible] a należytem ocenieniem wartości przez szereg stuleci. Człowiek, który wczoraj nie był pewnym swego życia i mienia wobec samowładztwa swego monarchy, nagle został nietykalnym, ba kontrolorem tego monarchy. Z wolnością jest tak samo jak z pieniądzmi. Inaczej gospodarzy ten, kto przez ciągłą pracę i odejmowanie sobie od ust dorobił się groszy, a inaczej ten, kto grosze wygrał na loteryi. Nie dziw, że litewsko-ruscy panowie nie wiedzieli co z tą nagle nabytą wolnością zrobić i w głowach im się zaczęło mieszać. Wolność uznali za prawo do swawoli, ale poczucia odpowiedzialności i obowiązku wobec państwa nie otrzymali, nie rozumieli. Ile tysięcy ich było, tyle tysięcy pierwiastku anarchicznego, rozkładowego otrzymało państwo, a bynajmniej nie tyle szabel ku obronie.

Polska szlachta przez pracę wieków wyrobiła w sobie zazdrosne poczucie równości, płynące z poczucia godności własnej i poszanowania samego siebie. Nie było w Polsce tytułów i surowo było wzbronione przyjmowanie tytułów zagranicznych.

Na Litwie i Rusi było mnóstwo książąt, którym nie miano odwagi, nie odczuwano potrzeby odbierania tych tytułów. Przyjęto jako kłamstwo konwencyonalne że szlachcic na zagrodzie równy książęciu i wojewodzie, ale wczorajszy niewolnik ogłoszony dziś za równego, w rzeczywistości * pozostał niewolnikiem. Zostawiał swój majątek, czasem kilkuwioskowy, gdzie mógł panować jako wolny i przenosił się na dwór księcia wojewody w charakterze rezydenta, pajaca, błazna, najpodlejszego niewolnika, bo dobrowolnego. I tańczył i skakał jak mu dobrowolnie przybrany pan kazał.

W Polsce właściwej widzimy na dworach bogatych panów mnóstwo służby płatnej, z biedaków dla chleba składanej. Na Litwie i Rusi u Radziwiłłów, Sapiehów, Sanguszków, Czartoryskich, Potockich żyją tysiące szlachty, często utytułowanej, która porzuciła swoje wystarcza-

jące na życie majątki, albo się trzymać klamki dworskiej, aby służyć, bo się do niewoli urodziła, bo zachowała niewolniczą duszę. A bójki między nimi były o to, kto ma potężniejszego i bogatszego pana – wojna więc domowa o liberyę.

Literatura zostawiła nam typ szlachcica sługi: to Gerwazy z „Pana Tadeusza". Szlachcic „równy wojewodzie" został takim sługą i niewolnikiem, że wyzbył się własnej duszy. On nie ma osobistych potrzeb, uczuć, przyjaźni, nienawiści. Nie wiadomo czy śmiał się kiedykolwiek kochać w dziewczynie, bo swoją miłość darował całkowicie swojemu panu. Wrogów pana nienawidzi i ściga goręcej i zawzięciej niż sam pan, kocha jego przyjaciół. Jest to coś jeszcze doskonalszego niż najwierniejszy pies – bo i psu pan pozwala w marcu pobiegać za suką, a Gerwazy byłby zapewne o takie pozwolenie prosić nie śmiał, uważając to osobiste własne uczucie za kradzież na panu popełnioną. Jest to nie heroizm niewoli, ale mistycyzm niewolnictwa. Gerwazy nie jest człowiekiem, tylko zwierciadlanem odbiciem pychy, zdań, uczuć swego pana. Taki typ mógł powstać tylko na Litwie i Rusi – w Wielkopolsce jest nie do wyobrażenia.

Gerwazy miał pana, strzegącego dobra Rzeczypospolitej. Ale tysiące szlachty uwieszone przy Radziejowskich, Radziwiłłach, Morsztynach itd wnosiło w życie publiczne tylko truciznę swoich panów. Przez pospieszne nadanie polskich praw szlacheckich Litwinom i Rusinom złamano odrazu fundament państwa, położony na cnocie, prawach i obowiązkach obywateli.

A ponieważ Litwa i Ruś były dwa razy większe niż stara Polska, ponieważ przez unię z Litwą zetknięto się z nowymi wrogami jak Turcy, Tatary i Moskale, ponieważ wskutek tego życie polityczne przeniosło swój środek w tamte strony, więc typ litewsko ruski stał się w Polsce panującym i przyprawił ją o zgubę.

Zamiast poczucia jedności narodowej zapanowała obojętność, której wyraz dał Maks. Fredro twierdząc, iż jest naturalną rzeczą, że Krakowianina nic a nic nie obchodzi fakt, gdy nieprzyjaciel nawiedzi ogniem i mieczem województwo czernichowskie.

Zamiast poczucia odpowiedzialności i obowiązku wobec państwa, po przeniesieniu całej władzy na sejmy, uznano posłów za trybunów rzymskich, udaremniających wszystko. Jest to anarchia posunięta do godności filozoficznej zasady. Potem jeden trybun krzyknął veto przeciw kilkaset innym trybunom i udaremniał im nawet ich udaremnianie.

Zamiast prawa zapanowała samowola magnatów, popierana przez tysiące szabel ze strony „równych" niewolników z dobrej woli.

Zamiast rozumu stanu zasada gorsza niż samobójcza, bo trąbią: „słabość Polski jest jej siłą – słabej Polski potrzebują sąsiedzi, a nie boją się jej – Polska nierządem stoi!"

Zamiast planu i wytrwałości bitwy z natychmiastowem rozchodzeniem się do domów; niedołężne pozwalanie na to, ażeby przez pół wieku co wiosny Tatarzy wpadali na plądrowanie, aby ich pod jesień odpędzać, z tą pewnością, że zaraz po roztopach wrócą – a nie przygotować porządnej wyprawy na 2 lata do Krymu i Tatarów nie przepędzić lub nie ujarzmić. Takiej bezmyślności nie zobaczyłoby się nigdyby u wielkopolskich szaraków lub małopolskich panów.

Równolegle z bezmyślnością zmalały dusze. Nie ma wielkości – brak wielkiego męża stanu, wielkiego wodza, wielkiego świętego, nawet wielkiego zbrodniarza. Ostatnie resztki wielkości lub jej pozorów giną z Janem Kazimierzem, a odtąd nie ma już nic, prócz niezłego jenerała Sobieskiego, który królem zdaje się nie był nigdy, tylko dobrym jenerałem na Turków i Tatarów. Odtąd magnaci nie robią nawet wojen domowych, tylko pospolite burdy i zaczyna się pustka w wojnie, w polityce, w sztukach, w gospodarstwie, w duszach. Przemiana ducha polskiego na ruski, zachodniego na wschodni, dokonała się zupełnie. Szlachcic jest impertynentem wobec króla, bo ten nic mu zrobić nie może, łaszącym się pieskiem wobec magnata, bo ten może mu co w łapę wsunąć, tyranem wobec chłopa, bo ten jest jego niewolnikiem. Iskry godności nie zostało w nim – puszenie się zastępuje godność osobistą.

I jak gdyby historya chciała pokarać tę przemianę dokonaną zupełnie, wykorzeniony pierwiastek staropolski, królami zostają kolejno dwaj ludzie ruskiego pochodzenia: Wiśniowiecki i Sobieski. Wiśniowiecki wyprowadza się wprawdzie z Normanów – ci jednak przez wieki zruszczyli się zupełnie. Nawet język polski zruszczono. Pod wpływem ruszczyzny wyrzuco-

no z języka literackiego a przegłoszone, czyli długie, które Kochanowski jeszcze skrupulatnie odróżniał od a zwanego łacińskiem, a które żyje we wszystkich gwarach rdzennie polskich wśród ludu do dnia dzisiejszego. Uznano wymawianie tego à za chamstwo i gminność i chciano wszędzie tę wymowę zruszczyć do tego stopnia, że pod koniec XVIII wieku uczony na owe czasy gramatyk Onufry Kopczyński rozpływa się w uniesieniach nad poprawnością języka lwowskiego, gdzie mówi się wprawdzie „trydzieści centy" wbrew duchowi języka, ale nie wygłasza się a pochylonego. „O" pochylone mające swój własny dźwięk, zbliżony do angielskiego, przeszło pod wpływem ruszczyzny na czyste u. Między Bóg a buk nie ma dzisiaj różnicy w wymowie.

Bezmyślność, brak troski o przyszłość narodu i państwa, nie pozwoliły spolszczyć polskich niegdyś krain, jak Wołyń, Podlasie, województwo lwowskie, bo chłop człowiekiem nie był. Wprawdzie Krzyżacy, margrabiowie brandenburscy wytrwale pracowali nad zgermanizowaniem chłopów pruskich, mazurskich, brandenburskich i aby tę germanizację przyspieszyć gęsto ich mieszali z niemieckimi kolonistami, ale tępy szlachcic polski tego nie rozumiał. Zruszczony na duszy ruszczył przymusowo dawnych polskich chłopów w tych mieszanych stronach i ruszczył przymusowo polskich sprowadzonych kolonistów. Gdyby mieć księgi metrykalne owych okolic przynajmniej na trzy wieki wstecz, możnaby wykazać, że 9/10 Rusinów w ziemiach czerwieńskich, na Podolu, Bracławiu itd. jest pochodzenia polskiego.

Dlaczego tak robił? Bo chciał panować. Wolał dla popa wyznaczyć trochę dębów na cerkiewkę, kilka włók ziemi, ryby i opał – niż łacińskiemu księdzu wiernie składać dziesięcinę. Wolał mieć popa żonatego i dzieciatego, poniewieranego w czeladnej, i udawać monarchę, który ma zależny od siebie Kościół, niż całować w rękę łacińskiego celibsa, który choćby był chłopskiego pochodzenia miał obyczajowo zastrzeżone pierwsze miejsce we dworze, przy stole, wszędzie. A do tego różnica między panem a chłopem w obrządku akcentowała znacznie silniej panowanie. Szlachcic czuł się monarchą i zdobywcą w swoich dobrach, gdy widział, że poddany różni się od niego mową i obrządkiem. Unicki obrządek był

religią chłopską, a pan, jako ulepiony z lepszej gliny, miał swoją własną pańską, doskonalszą religię rynską. Takie akcentowanie różnic bardzo było w smak puszącej się, nadętej i bezmyślnej purchawce.

I tak: zapomniano o Polakach na Pomorzu, w Prusiech Królewskich i Książęcych, na Śląsku i pozwolono ich zgermanizować — a równocześnie ruszczono przymusowo krainy niegdyś polskie, graniczące z Rusią rdzenną. To chyba nie jest dowodem rozumu stanu, poczucia narodowego, zabezpieczania przyszłości.

Koniec: Przez unię z Litwą — co jest fałszywem nazwaniem, bo zwać się powinno unią z Rusią — skrzywiono charakter narodowy, a raczej wynarodowiono się zupełnie, pozbywając się wszystkich zalet polskich jak wytrwałość, przezorność, miłość narodowości, poczucie prawa, poczucie odpowiedzialności i obowiązku, rozum stanu, przewidywanie i pracowanie na przyszłość, jednem słowem wszystko — a z ruskich zalet nie wzięto nic. Wytworzył się typ nowy: gęsiarz pusty jak dzwon, pijanica, głupiec, kurzyperda i niewolnik o chamsko niewolniczej duszy, gadający o wolności.

Żaden naród zręczniej nie porównywał się do Rzymian i żaden nie miał mniejszego prawa do tego. Wolność polegała na nieuznawaniu praw, ale równocześnie na liczeniu się możnym i na psiem wysługiwaniu się obcym.

Upieranie się przy czterech kardynalnych źrenicach wolności, gdy Moskale maszerowali po Polsce, a Prusacy wyciągali pieniądze i drągali, robi wrażenie wielkiej pijackiej niepoczytalności.

I ta szlachecko zruszczona bezmyślność pozostała nam w spadku. „Szlachta na koń wsiądzie, ja z synowcem na czele i — jakoś tam będzie." Z tej bezmyślności, głupoty wyleczyła się już Wielkopolska i w znacznej części Królestwo — Galicya do dziś w niej brodzi. W Galicyi jest to najsmutniejsze, że rozum narodowy począł się budzić w Galicyi wschodniej, a więc w kraju o większości ruskiej, gdy rdzennie polska część tonie jeszcze w głupocie saskiej.

Ta głupota podczas teraźniejszej wojny święci tryumfy, czy też orgie.

—

W Łodzi ogłosił pruski gubernator von Oppen, że oficerom i żołnierzom pruskim nie wolno dawać składek na ludność polską cierpiącą głód w zajętych przez Prusaków guberniach, a kollektorom polskim nie wolno pruskich żołnierzy nagabywać o datki. To się nazywa Kultura.

—

23. IV.

Od rana chodzi mi po głowie, że mam być dziś wypuszczony. Stąd nie mogę myśleć, pisać. Za każdem otwarciem rygla spodziewam się tej wiadomości.

24. IV.

Zdawało mi się, żem całkiem zapanował nad nerwami i że nic sobie nie robię z więzienia. I tak było przez kilka miesięcy, dopóki mi Bieniowski i Rymar nie wlali trucizny nadziei do serca. Wczorajszy dzień przegorączkowałem bez gorączki: dziś powiadam: dość i zabieram się do roboty. Oderwane uwagi, spisywane z dnia na dzień, przyniosły mi pomysł opracowania kiedyś kompletnej psychologii Polaka galicyjskiego, do którego żółtodzioby z Królestwa są podobne, po to, ażeby przez wykazanie wad i braków, przez oświetlenie chorób za choroby nie uważanych dać myślącej części możność leczenia się z tych grzechów. Sanabiles Deus fecit nationes. Chcę zrobić operację, zapowiedzianą przez Słowackiego w Grobie Agamemnona i w poemacie: Poeta i natchnienie - operację nie poetyczną, lecz realną... jeżeli naród jest żywy, to polecę."

Polak galicyjski jest indywidualistą antispołecznym, uważa siebie za oś świata, Polski, miasta, wsi, biura, w którem żyje. Prawie każdy był cudownem dzieckiem, miał widoki na wielką przyszłość, które los zawistny udaremnił i oto teraz w warunkach ciasnych, przykrych, niedostosowanych do jego zdolności, musi prowadzić żywot pegaza, zaprzęgniętego do pługa, więc ma żal do ludzi, świata, do swego zawodu - zwłaszcza do zawodu. Nie spotkałem w Galicyi na tysiące osobiście mi znajomych nawet kilkunastu ludzi, zadowolonych ze swojego zawodu, zaledwie kilku w swoim zawodzie zamiłowanych. Jest to psychologia lafiryndy romantycznej, niezrozumianej przez otoczenie, niepojętej przez szarą ćmę safandułów i hreczkosiejów, istoty uważającej się za wyższą nad stosunki i zaznaczającej swoją wyższość przez pogardę do kraju rodzinnego, przez tęsknotę do Włoch, przez fortepian stojący w kącie i przykurzony

życiem, przez migrenę, palpitacyę serca i brudny szlafrok, bo tu nie ma dla kogo się stroić.

Wyjść ponad ciasne stosunki zawodu zaznacza się przez pragnienie takiego stanu finansowego, w którym możnaby próżnować, albo przynajmniej mniej się natężać. Takie są miliony. Inni kombinują to z chęcią wywyższenia, [illegible] z chęcią [illegible].

Chłop tęskni do pracy biurowej – biurokrata do folwarku, koni cugowych i możności wojaży – szlachcic do większego majątku, koligacyi z arystokratami i możności stałego włóczenia się po zagranicznych hotelach, w krajach, odwiedzanych przez książąt krwi, monarchów i milionerów – ksiądz tęskni za żoną, dziećmi i pieniędzmi – arystokrata za dworskim urzędem i monarszym przedpokojem – ~~każdy pragnie~~ kupiec za rangą i uniformem urzędniczym – każdy pragnie wyjść ze swego zawodu i tymczasem jest niezadowolony, niecierpliwy, i swego zawodu nienawidzi. Toteż nie zna go – gdy musi, załatwia dla zbycia się z głębokiem westchnieniem niesmaku – a potem pociesza się kieliszkiem czy bombą, kartami, bezmyślnem marzeniem o niebieskich migdałach, nudą ziewającą. Toteż nie mamy u siebie biegłych robotników, dobrych gospodarzy na małem czy na wielkiem, zdatnych rzemieślników, uczciwych urzędników, skutecznych pedagogów, księży z powołania. Wszystko załatwia się dla zbycia, wszystko wygląda na nomadów, gotowych jutro do opuszczenia miejsca swojej działalności, wszystko jest tymczasowe. Nawet domy buduje się tymczasowe, które po miastach walą się często przed zamieszkaniem, a po wsiach rzadko na dwie generacye wystarczą.

Z tą tymczasowością w załatwianiu swoich obowiązków łączy się straszliwa niesumienność. Robotnik mało umie, ale zupełnie nie chce nauczyć się lub sumiennie przyłożyć do roboty i dlatego rozsądnym przedsiębiorcom opłaca się sprowadzanie trzy razy droższych robotników zagranicznych: Włochów do robót kamieniarskich, Amerykanów lub Czechów do murarskich, Moskali i Kroatów do wodnych, Niemców do drzewnych, Węgrów do ziemnych. Rzemieślnik nigdy nie dostarczy dobrego towaru i na czas. Stolarz za podwójną cenę daje meble, które w tydzień rozeschną się i popękają, szewc założy p-kapsle ołowiane, krawiec nie doszyje guzików, murarz

przekroczywszy o 60% kosztorys buduje dom, który się nierównomiernie osiada i pęka. Kupiec, wyszukawszy stałego gościa, wkłada mu wszystkie wybiórki w rękę, mówiąc sobie: „ten osioł weźmie i to paskudztwo za dobry towar." Chłop zdobywszy odbiorcę, daje chrzczone i bierzmowane mleko, masło z łojem i włosami, zboże z plewą i piaskiem dla wagi. Oszustwo przy sprzedaży chorej krowy czy konia za zdrowe, uchodzi już nie w chłopskich, ale szczególnie w szlacheckich i oficerskich kołach za figiel, dowcip, honorowy fortel, którem można pochlubić się w kasynie. Ziemianin nie płaci długów i podatków, nigdy nie dostarcza służbie ordynaryi i mieszkania tak, jak się zobowiązał, zazwyczaj stara się robotnikom polnym obciąć umówioną zapłatę i dzierżawcę swego oszukać i z torbami puścić. Stąd coraz mniej jest dzierżawców chrześcijan, a coraz więcej żydów dzierżawi dobra, bo ci wiedzą, że raczej sami oszukają niż dadzą się oszukać. Znam magnatów, którzy dla oszukania swoich dzierżawców krzywo przysięgali. Stąd też i sumiennych oficyalistów nie ma, bo najsumienniejszy pójdzie w żebry, jeżeli się nie nauczy oszukiwać. Jeden tylko gatunek oficyalistów może liczyć na sumienne dotrzymanie umowy przez pana, to Niemcy. Polski szlachcic wstydzi się oszukać Niemca, aby przed obcymi nie zasłużyć na potępienie, to też Niemiec drwi z swego pana w żywe oczy.

W mieście urzędnik, profesor, nauczyciel oszukuje przełożonego, próżnuje w biurze i w klasie, oszukuje podwładnych i strony, bo pedagog nie wyzyskuje godzin dla nauczenia młodzieży, a urzędnik odkłada załatwienie spraw do nieskończoności.

Pani oszukuje służącą. Widziałem sam, jak bogata właścicielka kamienicy przyniosła pęk noży i widelców, aby je ukryć w mojem kawalerskiem mieszkaniu pod poduszką otomany i rzucić na służącą podejrzenie kradzieży, nie zapłacić jej należytości, a gdyby protestowała, oddać policyi jako złodziejkę. Pożyczanie pieniędzy przez panią od sług i zapominanie o potrzebie oddania jest rzeczą codzienną. Nie dziw, że sługi kradną, chlebodawców nienawidzą, boć nawet najdzikszą prosto ze wsi przybyłą poczciwość musi pani zamienić na złodziejkę i oszustkę, a pan i panicz na prostytutkę. Dlatego też biegłych, sumiennych, do domu przywiązanych sług nie ma dzisiaj.

Gdyby kulturę narodu sądzić wedle zachowania się ludzi wobec swoich podwładnych, to dla Polaków wypadnie najniższe miejsce na drabinie kulturalnej, a dla Polek ze stanu intelligencyi już najgorsze. ~~Panie~~ Polak w stosunku zależności jest zawsze psem: warczy i kłapie zębami na niższych i zależnych, łasi się, zaphuje i aportuje wobec wyższych i przełożonych.

O sposobie i treści załatwiania spraw przez urzędników napiszę kiedyś osobno.

Z tego powszechnego oszukiwania się wzajemnego wyrosła w Austryi pewna wojna, która w Galicyi przybrała rozmiary karykaturalnej satyry: to sprawa podatkowa. Żaden Galicyanin, który nie musi, nie podaje rzetelnie swojego dochodu władzom podatkowym – władze zaś nikomu nie wierzą i odebrawszy fassyę, wymierzają podatek zazwyczaj od kwoty trzy razy wyższej. Rzadko się mylą. Ten pościg władz, stwierdzających urzędownie: „jesteście oszustami” i ucieczka oszustów ma w sobie coś komicznego. Zdarzają się przytem i wypadki osobliwe. Był w Krakowie bardzo pobożny i uczciwy właściciel domku przy ul. Garbarskiej, który niby jedyny w całem mieście wykazywał rzetelnie i uczciwie swoje dochody. Wymierzano mu w myśl reguły podatek od sumy kilkakrotnie wyższej. Gdy rekursy nie pomogły, płacił biedak, czyli prawie cały swój dochód oddawał urzędowi. Gdy umarł, spadkobiercy musieli przez dwa lata dom trzymać pustym, żeby potem przy zastosowaniu odpowiedniego oszustwa osiągnąć po zastosowaniu podobnego oszustwa przez władze w myśl systemu osiągnąć prawie sprawiedliwy wymiar podatku.

Gdy Prof. Baudouin de Courtenay napisał o tem broszurkę, cała prasa bez różnicy zapatrywań rzuciła się na niego jako na potwarcę narodu, bociana co własne gniazdo kala itd. Dlaczego? Rzecz prosta. System niedowierzania, stosowany przez władze, ulega korrekturze przez tz. Komisye ~~p~~ szacunkowe podatku, prawie w połowie złożone przez tz. „czynnik obywatelski” z wyborów. Tam krętacze robią poli-

tykę, zmniejszając ciężary dla przyjaciół, a rujnując przeciwników i ocalając siebie i rząd zaś z klęścią, patrzy na te cygaństwa, bo dozwalając niektórym osobnikom wykręcać się od płacenia, dostaje ich w ręce i może nimi podczas wyborów dowolnie rozporządzać. Skarb państwa nie jest przytem oszukiwany, bo potrzebna suma podatków bywa wyciągana przez nadmierne opodatkowanie uboższych, dla polityki obojętnych, lub też wrogów Kliki osiadłej w Komisyi. To oszustwo jest więc obustronnie uznane za potrzebne i pożyteczne. Jest to oszustwo jako zasada rządzenia przez Kliki i system starościński w Galicyi.

Możnaby powiedzieć, że oszustwo jest ogólnym systemem życia galicyjskiego. Niezadowolony z zawodu nadrabia oszustwem te braki w swojem zatrudnieniu, które mu się wydają całkiem nieznośnymi.

Z niechęci do zawodu wynika wiele ~~złe~~ innych niechwalebnych uczuć, które są potem sprężyną działania. Więc naprzód zazdrość. Słusznie Sienkiewicz zauważył, że polska zazdrość jest odmienna od każdej innej. Za granicą fachowcy zazdroszczą sobie wzajemnie, jeżeli ktoś z tego fachu dokona jakiejś lepszej rzeczy i niejako wybije się ponad towarzyszy. U nas literatowi dobrej komedyi zazdroszczą nietylko literaci, jak gdzieindziej, ale rolnicy, przemysłowcy, inżynierowie, aptekarze, ludzie, którzy w fachu pisania komedyi nie próbowali swoich sił i próbować nie myślą.

Pamiętam, kiedy w roku 1907. chłopi obwołali mnie w Tarnopolu i Zbarażu kandydatem na posła, nagle profesorowie, bankowcy, urzędnicy starostwa, rady powiatowej, zaczęli mi podstawiać nogi z zazdrości, abym posłem nie został, chociaż żaden z nich kandydować nigdy nie myślał, a mnie dotychczas lubili, ba szanowali.

Poza zazdrością wynika z niezadowolenia pragnienie wybicia się w górę. Byłoby to uczucie bardzo pożyteczne, gdyby go nie praktykowano w sposób galicyjski. Albowiem w Galicyi z pomiędzy wszystkich sposobów wybicia się w górę wykluczony jest jeden: praca i zasługa. Swoją drogą przy korrupcyjno protekcyjnym systemie praca i zasługa nie popłacają. Odbywa się więc orgia lizania się, biegania za protekcyą u przełożonych

u polityków, fartuszkowa protekcya nawet w najohydniejszych przejawach podstępstwa, przyrzekania małżeństw – oszukiwanie współobywateli itd. Gdyby połowę tej energii, jaką się zużywa na podobne zabiegi, niezgodne z sumieniem, z przysięgą służbową, z obowiązkami stanu, zużyć na pracę, możnaby zabłysnąć w swoim zawodzie jako nadzwyczajna gwiazda.

Rzadko który Polak pragnie władzy, aby rządzić, aby czegoś dokazać, aby swoją myśl przeprowadzić. Z polityków jeden Głąbiński chciał działać i działał. Jako krótkotrwały minister Kolei przeprowadził w ministerstwie więcej pożytecznych reform, niż całe pokolenia biurokratów mogły wygospodarować. Dlatego śmiertelnie jest przez wszystkich polskich polityków znienawidzony i śmiertelnie go obalono, a partyę jego osłabiono.

Pchanie się w górę jest w Galicyi nie wynikiem ambicyi, ale próżności, która chce błyszczeć, albo też łakomstwa, które chce robić geszefta. Kandydują na posłów chłopi, urzędnicy, obszarnicy, aby dostać tytuł jaśnie wielmożnych i puszyć się między swoimi współtowarzyszami zawodowymi, często aby pod nietykalnością robić najbrudniejsze geszefta. Z tych samych racyi posłowie ubiegają się o ministerstwa, aby być ekscellencyą, dawać się witać, na dworcach kolejowych oglądać tłumy szwendających się z uszanowaniem urzędników i jeździć salonką, a puszyć się przed innymi posłami. Nie brak takich, którzy przy okazyi robią geszefta.

Rzadszą jest chęć wybicia się do góry celem osiągnięcia wpływu. Ale i ten wpływ ogranicza się do drobnych zawiści – chce się przeciwników gnębić, dać się im we znaki, a przyjaciół na koszt państwa wyciskać. Polaczek chce być słonkiem i mieć satelitów. Na tem usposobieniu opierając się, można potwierdzić hypotezę Piekosińskiego, że szlachta polska pochodzi z dynastów, skoro ma taką próżność chodzenia w chwale królewskiej. A skoro kultura polska jest szlachecką na wskroś, upodobnili się do dynastów i łykowie i chamy – to też każdy Polak chce być królikiem czy królewiczem, nie dla rządzenia i przeprowadzania swoich zamiarów, lecz dla rozdzielania łask i uśmiechów, oraz kar i prztyczków.

Byle nie pracować i nie myśleć. Każdy Polak ma w sobie zdolności na króla, ale Kotylionowego. Jeden Głąbiński piął się do góry dla pracy, dla zyskania szerszego terenu działalności.

Gdy jestem przy politykach muszę dwa typy pchania się w górę przedstawić, oba tak charakterystyczne, iż prawie karykaturalne. Są to Dr. Bobrzyński i Dr. Dulęba. Bobrzyński chce władzy, aby się dać odczuć, aby gnieść, aby samemu być źródłem prawa, aby wszystko zmiąć, zmiesić i uczynić sobie powolnem. Po co mu ta powolność? Żeby się jak najdłużej przy godności utrzymać i to przy godności pierwszej. Jest to najlepszy wyraz polskiego samoubóstwienia, z dodatkiem złości i zjadliwości, która nigdy zadowoloną nie jest. Byłby zdaje się historycznym tyranem w Syrakuzach. Ponadto, aby być pierwszym, żadnego innego celu nie ma. Pomawiano go o to, że chce stańczykom przywrócić monopol władzy. Nieprawda. Stańczycy byli mu dobrzy, jako karne i posłuszne stado – ale rychło zwiąrał się z socyalistami, bo tam także karność panuje, a myśleć wolno tylko głowami przywódców. Ślepo posłuszni, a bezmyślni stapińczycy również pasowali mu do kramu, a uzupełnił zaciągi te polską demokracyą, to jest zbiorowiskiem ludzi, żyjących z łaski rządu i świecących jak księżyc odbiciem blasku rządowego, a więc najprzydatniejszych na ślepe narzędzia. Założenie tego bloku, powolnego dla założyciela, jest zaprzeczeniem chęci wskrzeszania wszechwładzy stańczyków.

Po co mu było tej władzy? Może dla narodu polskiego? Broń Boże. Większych szkód narodowi nie wyrządzili Prusacy i Moskale razem niż Bobrzyński w Galicyi. Może dla Austryi? Gdyby Austrya była państwem policyjno-despotycznem jak niegdyś, byłoby to dla niej przysługą mieć w Galicyi zamiast narodu o odrębnym charakterze bierną, posłuszną, sproszkowaną masę niewolników. Ale dziś właśnie w pogranicznym kraju trzeba narodu o wyraźnej fizyognomii i woli. Dzisiejsze rozbicie narodu, tak dla Austryi niemiłe, jest właśnie dziełem Bobrzyńskiego. On nie miał żadnego celu państwowego, narodowego, nawet partyjnego, tylko osobisty: chciał być pierwszym i jedynym, rządzić jak satrapa. Ponieważ zaś nie było w nim śladu serca, więc rządzenie jego nie miało dwóch stron to jest

wymierzania kar i rozdzielania łask, lecz tylko jednostronny kierunek uderzania się na przeciwnikach przy pomocy opłacania swoich sług, jak długo ich potrzebował. Ten rys nie jest typowy dla Galicyanina, lecz osobisty Bobrzyńskiego. Zresztą chęć przodowania dla satysfakcyi przodowania, ale nie dla jakiegoś celu, w chęci przeprowadzenia programu, uznanego za dobroczynny, ta jest typowo galicyjska.

Całkiem inaczej Dulęba. Ten pragnął dostać się na jakiekolwiek stanowisko, z którem połączony jest tytuł ekscellencyi, widzieć ukłony i paradować w wyprasowanych portkach, oraz po pierwszorzędnych restauracyach i hotelach imponować kelnerom. Jako minister niczem się nie zajmował, o niczem nie wiedział. Zapytany o jakąś sprawę, o stanowisko rządu do niej, na Kole polskiem, otwierał wyszklone oczy z taką naiwną baraniością, iż litość brała. On nie po to był ministrem, aby coś robić, czemś się interesować, o czemś wiedzieć. On był ministrem, chciał nim być, aby się ponad posłów wyróżnić i mieć tytuł.

To już nie jest ambicya, to nawet nie jest próżność, ale papuzie błazeństwo.

W jednym tylko wypadku galicyjski Polak jest dumny ze swojego zawodu – mianowicie kiedy chodzi o zadzieranie głowy nad innymi. Chłop wtedy twierdzi, iż jako żywiciel wszystkich ma prawa największe i jest dumny ze swojego chłopstwa – robotnik uważa się za fachowca, bywalca, polityka, członka lepszego niż inne zawodu i z góry patrzy na chłopa – rzemieślnik, udając iż z mieszczaństwa dziedzicznego pochodzi, pogardza chłopem i robotnikiem pysznię się ze swojej lepszej bo mieszczańskiej krwi – intelligent ma się za istotę wyższą, poprostu z innej gliny ulepioną, niż ludzie pracujący rękami nie pośladkiem (to się ~~eu~~ eufemistycznie nazywa: głową) – ziemianin wierzy w swoją błękitną krew i uważa, że wszystkie poprzednie fachy żyją dla jego wygody.

Między rzemieślnikami i intelligentami każdy gatunek rzemiosła i każdy dział służby ma się za lepszy od drugiego. U intelligentów szczególnie jaskrawie to występuje. Ksiądz czeka aby mu się wszyscy kłaniali ba ręce całowali; bo on jest poświęcana osoba, kto tej pychy księżej nie zaspokaja, jest heretykiem, niedowiarkiem, wrogiem Kościoła, często przedmiotem piorunującego karania. Urzędnik ze starostwa ma się za coś niezwykle wielkiego, uważa się za rząd, ~~sam~~ za samowolnego rozdawcę łask i kar.

Sędzia twierdzi, że może każdego zamknąć do kozy i więcej, że tę moc ma powierzoną samowolnej dyskrecyi, chodzi podobny do pawia, ~~xx~~ czekając na hołd innych, których uważa za poddanych. Profesor znów domaga się od wszystkich uwielbienia dla wiedzy, której często nie posiada i żąda od dorosłych takiego samego uszanowania, jakie odbierał od uczniów. Nauczyciel, ufny w 18 przedmiotów, jakich niegdyś dawano mu w seminaryum, uważa się za jedynego człowieka, uniwersalnie wykształconego i jest może najpróżniejszy.

Każdy z tych panów jest mściwy i za brak uszanowania gwałci sprawiedliwość, byleby zemstę nasycić. Trafiają się we wszystkich tych zawodach ludzie normalni, ale najgorzej na tem wychodzą, bo ich nikt za hetkę pętelkę nie ma. Aby w Galicyi zażywać jakiegoś takiego uszanowania, trzeba koniecznie nadąć się i swój majestat ostrożnością po wybojach nosić jak spękane, do rozbicia gotowe jaje.

Stąd w małych mieścinach galicyjskich jest życie tak niezmiernie przykre. A raczej jest to brak wszelkiego towarzyskiego, politycznego, kulturalnego życia, brak wszelkiej przyjemności życia, bo każdy siedzi u siebie i nudzi się jak niedźwiedź w klatce zwierzyńca. Żony tych panów dmą się stokroć gorzej niż oni, zadzierają nosa nad żonami innych panów, często rujnują się na zbytkowne suknie, aby rywalki zagasić i do żółci pobudzić, choć w domu niekiedy głód i brud.

Dla kompletu trzeba jednak dodać, że jest jeden sposób zgodzenia tych nieprzebytych sprzeczności: kieliszek lub karty. To równa stany, otwiera serca, czyni towarzyskość i łączy. Kto żadnej z tych zalet nie posiada, przepadł.

Jest jeszcze jeden sposób wybicia się na wierzch w Psiej Wólce, kiedy ani majątek, ani studya, ani ranga nie dozwalają na puszenie się. Trzeba sobie sprawić tyrolski kapelusz z piórkiem z tyłu, psa rasowego wziąć na sznurek, ubrać się po cudacku, przyjąć sposób mówienia z partesu ~~bez~~ przez zęby i zaznajomić się z jakim szlachcicem, a jeśli można wypić z nim bruderszaft, mówić mu „ty" przy tych, którzy się za śmietankę mieściny uważają, a w mieście samem chodzić z głową do góry i nie widzieć nikogo. Wnet ci wszyscy, którzy uważali się za wyższych, poczną takiemu panu czapkować.

Do iście bramińsko zazdrosnej o swoją czystość kasty biurokratycznej

może się wkupić na stopę równości człowieka bez „uniwersyteckich studyów" jak aptekarz, przedsiębiorca, agownik świński, ale pod warunkiem, że jest bogaty, daje dobrze jeść i pić, a dom trzyma na lepszą skalę. Jeśli dyskretnie pożycza pieniądze, zostanie przyjacielem nawet — a jeśli po tem jest niedyskretny, nastawi na szacunek wyższego, człowieka lepszej sorty, bo się go będą bali dłużnicy, a szukali kandydaci na dłużników.

W tym wyjątkowym razie nawet rzemieślnik i chłop mało pieniężny zostanie wyjęty z ogólnej klacy obrzydzenia godnych paryasów, a frazesy liberalne o demokracyi, równości, postępie, nowych czasach, ojczyźnie, której fundamentem są stany pracujące i wytwórcze, zaspokoją sumienie rangowca, które jednak na takie konfidencye się burzy. Bogaty kupiec może nawet nie pożyczać i nie fundować bombek, jeśli ma opinię bardzo bogatego, będzie szanowany.

Takie stosunki zastałem po miastach i miasteczkach Galicyi wschodniej w roku 1900. Powoli jednak pod wpływem ostrej walki narodowej wydanej przez Rusinów, pod wpływem pracy w T. S. L. do której wczasy przyłożyli rękę i grosz, pod wpływem założenia stronnictwa demokratyczno narodowego, zaczęły się te stosunki zmieniać na lepsze. Praca w czytelniach, kasach, kursach, Sokołach zbliżyła i ożywiła ludzi, a skuteczność tej pracy zaczęła bratać inteligenta z chłopem, rzemieślnikiem i robotnikiem. Strajki rolne w 1902, pierwsze wybory powszechne i zamordowanie namiestnika Potockiego, zniosły bezmyślność, pyszałkowatość i bezczynność, a wszystkich Polaków bez różnicy urodzenia, stanu, studyów wzgnieły brdźmi. Ten proces zjednoczenia i zrównania narodowego zaczął być mąconym przez Bobrzyńskiego i Stapińskiego, a teraz zapewne zostanie zerwany przez Moskali.

Kiedy w październiku 1911. przeniosłem się do Galicyi zachodniej zastałem ten sam stan jak powyżej z jednym smutnym dodatkiem. Inteligenci żyli tylko myślą o powiększeniu poborów już to przez przyspieszony awans już to przez ustawowe podwyższenie płac. Tem żyli, tem oddychali, o czem innem myśleć, mówić nie umieli. Nawet młodzież była tem zarażona. Uczniowie seminaryum nauczycielskiego w Rzeszowie umieli mi na kalerze wyrachować pobory

austryackich urzędników wszystkich kategoryi, z różnicami kwinkwe-
niów, trienniów, dodatków aktywalnych, kwaterowych, funkcyjnych
u stopniami rang dykasteryjnych i klas miejscowości zamieszkania.
Zdębiałem, bom sam tej umiejętności nie posiadał i do dziś nie wiem,
jak wielka jest moja pensya.

W Jaśle przyszli do mnie reprezentanci wszystkich urzędów, a więc sądu
obwodowego i powiatowego, poczty, kolei, więzień, dyrekcyi skarbu, gimna-
zyum, szkół ludowych, inspekcyi leśnej, dyrekcyi budowli wodnych i regu-
lacyi rzek... Bóg to spamiętał i przez usta ~~sto~~ mówcy, starszego radcy
trybunału p. Łopatińskiego oświadczyli mi, że jeżeli postaram się o przesunię-
cie miasta do wyższej klasy dodatku aktywalnego (z III do II), to wszyscy
urzędnicy jak jeden mąż przystąpią do „mojego" stronnictwa. Nie nazy-
wano tego stronnictwa, nie pytano o program, cele, metody, mówiono:
„Pańskie stronnictwo" – to znaczy, że mogło ono być stronnictwem sprze-
dawczyków.

Spotykanie się z intelligentami na wiecach w Galicyi zachodniej było praw-
dziwą męką duszy. Mogłem mówić o traktatach handlowych, uświado-
mieniu narodowem, o losie Polaków pod innymi zaborami, czy na
wschodzie lub Śląsku, o konwencyach wojskowych, projektach ustaw
skarbowych, karnych, cywilnych, o kulturze i gospodarce, o grożących
wojnach i możliwych wynikach dla Austryi i dla Polski, o czem kto
tylko zamarzył – a mogłem być pewnym, że jeżeli kilku intelligentów
jest na sali, to po otwarciu dyskusyi jeden z nich niezawodnie zain-
terpeluje mnie, jak stoi sprawa pragmatyki służbowej w parlamencie,
a jeżeli jest tam nauczyciel ludowy, to mnie zapyta o poprawę płac
nauczycielskich w sejmie. Pragmatyka i poprawa płac ścigały mnie
jak zmory od Chrzanowa do Jasła i od Rozwadowa do Żywca, a nie
było gdzie przed niemi głowy schronić.

To też nic dziw, że intelligencya zachodnio galicyjska aż do wojny była
na ogół ~~dla~~ w sprawie narodowej tak głupia i obojętna, a w sprawach
swoich zawodowych i osobistych tak mała często nikczemna i podła.
Gdy zasługa i praca zostały wykreślone z rzędu środków, którymi
dochodzi się do lepszych poborów i znaczenia, nic dziwnego, że lizunistwo,
zaprzaństwo, handel przekonaniami i zasadami doszły do tego, iż

radcy sądowi głośno się ogłaszali zwolennikami złodziejskich metod Stapińskiego.

Będę musiał kiedyś osobno o intelligencyi napisać.

Wracając do głównego przedmiotu, akcentuję raz jeszcze, że każdy ma się za coś wyjątkowego. „Alboż ja to samo co on?" to pytanie brzmi w ustach każdego chłopa, gdy się na sąsiada pogniewa i każdego ze stanów „wyższych", w odniesieniu do „niższych" i równych. Kiedy chłopisko się kocha, to nikt tak się nie kochał jak on — kiedy tańczy to najlepiej ze wszystkich — kiedy się uczy, to również najlepiej — kiedy miał przykrości lub niedostatek, to nikt takich wyobrazić sobie nie może, a tem mniej żeby miał być takich doznać — kiedy ma nawet suchoty lub garb, to najprzedniejsze ze wszystkich jakie istniały.

A ponieważ takich zdolności, przejść i uczuć nikt inny nie miał, a nawet nie zdoła pojąć, nic dziw, że każdy uważa się za coś lepszego. Spotykałem ludzi, którzy słysząc chłopski lament nad nieboszczykiem, oświadczali, że to żal udany, boć chłop nie może doznawać głębokich uczuć, zastrzeżonych tylko dla natur wyższych, wyjątkowych.

Ta wyższość i wyjątkowość czyni Polakowi galicyjskiemu stan dotychczasowy niemiłym, bo nieodpowiednim i prowadzi go do niezwykle tęgiego marzycielstwa, czyli lenistwa.

Polak się nie kształci. Po spartoleniu egzaminów zrywa z książką. Objechałem prawie wszystkie miasta w Galicyi i u żadnego intelligenta nie znalazłem biblioteczki. Jest „Pan Tadeusz" lub „Marya" lub jeszcze coś innego w wytwornem wydaniu illustrowanem na stole w salonie, bo to dar rodziców dla żony, gdy była panną, lub samych państwa dla któregoś ze swoich dzieci na imieniny. Często też spotyka się nigdy nie używany Leksykon Meyera lub Brockhausa — widocznie sprytny agent zaszył się aż tutaj, wziął pierwszą ratę, dzieło przysłał, a resztę należytości wyprocesował. Dlatego mimo obecności wielu ludzi, pracujących „głową" nie ma w Galicyi po mniejszych miastach bibliotek ani wypożyczalni. Czasem w Kasynie trafi się wypożyczalnia powieści nowszych, czytana jednakże tylko przez panie, a to przez niezamężne nauczycielki z powagą i namasz-

szeniem jako dalszy ciąg pracy nad wykształceniem własnem i prze-
żony urzędników, jako dowód wyższej kultury, a wymówka dla lenis-
twa, niezaglądania do kuchni i niestrzepywania prochu z mebli.
Książek fachowych nie spotkałem nigdzie. To dowód, że się nienawidzi
wykonywanego zawodu i zarazem dowód, że się go wykonywa źle dla
zbycia się, pod wpływem humoru. Czasami trafi się zbiorek arcydzieł
swoich lub obcych – zazwyczaj ze szkolnych czasów pochodzący, czasami
podczas smalenia cholewek zakupiony dla okraszenia konwersacyi,
a czasami przez agentów wsunięty. Dlatego częściej widać Goethego
i Heinego niż Mickiewicza i Słowackiego – naturalnie nigdy nie
czytywanych. Są aby wytworną oprawą ozdabiać pokój.
Galicyanin zatem pod względem umysłowym zostaje na poziomie,
jaki osiągnął w chwili zdawania ostatniego egzaminu na uniwer-
sytecie, ronięc z niego z roku na rok coraz więcej, aż nakoniec
nie wiele różni się od analfabety człowiek, dumny ze swego uni-
wersyteckiego wykształcenia, w tym wykształceniu upatrujący swój
tytuł do pychy, swoje szlachectwo.
Wyjątki trafiają się w ludziach i książkach. Ale tylko reklama potrafi
jakąś nową książkę wepchnąć Galicyaninowi do ręki i musi to być
reklama amerykańska. Tak było z nudnymi „Popiołami" Żerom-
skiego, które p. Gubrynowicz jeździł reklamować w osobnych wykła-
dach uniwersytetu powszechnego, jako najnowszą epopeję polską.

25. IV.

Tak cudowny, pierwszy dzień prawdziwie wiosenny na świecie. Dzieci
biegają, starsi chodzą lekko odziani, kąpiąc się w słońcu i nawet nie umieją
ocenić swego szczęścia: wolności. Zdaje mi się, że nie ma większego szczęścia
nad możność wyjścia tam na miedzę w Polskiej Ostrawie, między ziele-
niejącemi zbożami i popatrzeć w niebo dookoła siebie i chmurom się
przyglądać i móc iść, stanąć, usiąść wedle własnej woli. Ot! rozckliwie-
nie głupie! Ileż takich dzionków zmarnowałem, ślęcząc nad artykułami,
wykładami, korespondencyą, jaką dobrowolnie na siebie wziąłem –
albo w zaduszonych salach zgromadzeń, w dymnych kawiarniach na oma-
wianiu niby bardzo ważnych i poważnych rzeczy. A tam na zewnątrz świeciło

słońce niezrównane, zieleniały pola i drzewa, kwitnęły kwiaty. A ja o nich nie wiedziałem i nie było mi żal straconej piękności życia. Próżniactwo jest ojcem zakochań się i sentymentalnych roztkliwień. Przez ostatnich lat 15 nie miałem czasu spostrzedz, że kobiety są ładne, choć pierwej musiałem zawsze się durzyć i prawie nigdy, prócz kandydowania w 1911 roku, nie widziałem jak jest na świecie: pięknie czy brzydko.

Zresztą niewiadomo co lepsze. Wyrzekłem się osobistych uczuć i przyjemności, aby zaprządz się w służbę sprawy i ta służba odebrała mi dobre imię, a teraz wolność. Gdy stąd wyjdę, będę już wspomnieniem, przeżytkiem nikomu nie potrzebnym, a zawadzającym dla tych, co się już zaczynają tłoczyć do koryta. Niegdyś myślałem, że sława po mnie zostanie. Dziś widzę, że imię moje zginie z ludzkiej pamięci przed moją śmiercią. Lepiej było idyotyczne rymy bazgrać o niebieskości, bo nie ma grafomana, któregoby w 200 lat po śmierci nie odgrzebano, nie wydano na nowo i nie kłócono się o ~~jego~~ godzinę jego urodzin. Wszystkie obskurności pisane i malowane stają się czcigodnym zabytkiem, smakoszowaniem znawców w trzy wieki po ich śmierci.

Może lepiej było napawać oczy pięknościami natury, dobrze się odżywiać, hygienicznie się prowadzić i dbając o żołądek i dobre trawienie, zachować krzepkość i usposobienie wesołe. Mógłbym i tak dochowawszy się wydatnego kałduna chodzić po jakimś Pacanowie jako czcigodny okaz najpoważniejszego obywatelstwa miejscowego, a nawet zostać powagą. I wtedy za moją trumną szłoby więcej ludzi, niż pójdzie teraz — a pamięć i wtedy i dziś zamrze za bramą cmentarną. To wiem, że dla fantomu zmarnowałem życie, że żadnej przyjemności życia nie wyczerpałem, a dziś gdy sił brakuje, żal mi straconych sposobności. I co komu z tego? Nie żalby mi było tego zmarnowania, gdybym choć jednemu człowiekowi, jednemu stanowi, jednemu pokoleniu przez to wyrządził przysługę. Ale i to nie. Kiedy faktorowałem wyborcom ze skutkiem, to każdy niecierpliwiony starał się wnet wynaleźć we mnie plamę, aby się rozgrzeszyć od obowiązku wdzięczności, a potem przyznać sobie prawo do zwalczania mnie.

Summa summarum: nie żal mi jednak tego dobrowolnego jarzma, bom się przez tych 15 lat przynajmniej nigdy nie nudził — a to zysk.

Polak każdy jest wyjątkowym okazem – do niego wyjątkowca wszystko wyjątkowo powinno się naginać. Zwyczaje, ustawy, przepisy, bardzo chwalebne, że są, powinny nawet obowiązywać i to wszystkich, oprócz tego jednego, który właśnie o nich myśli.

Wyperfumowana dama wchodzi z synkiem do ogrodu publicznego. Widzi jak dozorca kwiatów przepędza urwisów, chcących zerwać różę, lub ułamać sobie gałąź. Chwali go za to, zaleca gorliwość i surowość, prawi morał o potrzebie uszanowania publicznej własności. Coby było z ogrodu, gdyby codzień każdy [illegible] coś uszczknąć!? Siada dumna, że przyczyniła się wielce do ogólnego porządku, ogólnego dobra – gdzieindziej pewnieby ją za to honorową protektorką towarzystwa dla upiększenia miasta obrano. Synek tymczasem zwraca uwagę na piękność jednej róży w głębi klombu. „To idź dziecko i zerwij". „Ależ Mamusiu, to nie wolno, ogrodnik będzie krzyczał!" „Na ciebie? Niechby się poważył! Ty jesteś grzeczne dziecko, ty szkody nie zrobisz." Chłopiec idzie, rwie różę, po drodze łamie gałąź bzu czy czeremchy – na to wbiega ogrodnik i z kijem do chłopca. Oburzona dama bierze syna w obronę. „Jakto? Mojemu dziecku nie wolno? Zgroza. Rozumiem, że zakaz być musi, boby hołota zbiegła się tłumami i spustoszyła ogród – ale mój jeden synek, jeden i mój właśnie – to całkiem co innego." Nadaremnie ogrodnik używa wymowy o prawach obowiązujących wszystkich bez wyjątku – dostaje karczemną burę i odpowiada rynsztokową obelgą – poczem dama oburzona wychodzi, psiocząc na porządki, zapowiadając koniec świata przez brak poszanowania dla „lepszych ludzi", a jeśli mąż jej coś znaczy w magistracie, to uczciwy ogrodnik wyleci ze służby.

Jako poseł miałem setki chłopów, proszących o wpłynięcie na sąd, aby wydał niesprawiedliwy wyrok na „korzyść" proszącego, bo on się na przeciwnika zajadł i chce mu pokazać. „Dla mnie! dla mnie ten jeden jedyny wyjątek", przyczem na wykład o potrzebie równej sprawiedliwości, bezwzględnej dla wszystkich, niejeden potwierdzając wygłosił mi wcale wymowne kazanie o wartości równych praw i o pożytku bezwzględnej sprawiedliwości, poczem ponowił prośbę o zrobienie jedynego wyjątku teraz na jego korzyść.

Intelligencya zdaje się, że wogóle zatraciła posmak sprawiedliwości.

wierzy tylko w protekcyę i wpływy polityczne.

Ileż razy byłem świadkiem, gdy przez Sokoła zarządził na jakąś uroczystość surowe jawienie się w mundurach i sam przyszedł po cywilnemu. Raz taki cywil przez surowo zgromił wydziałowego, który rozkazu nie posłuchał i przyszedł po cywilnemu.

W Kosiu miałem za towarzysza bogatego chłopa. Tłumaczyłem mu, że przyjdzie czas, kiedy zarekwirują mąkę pszenną i żytnią i zabronią wypiekać z niemieszanej chleb. Uznał, że to zarządzenie będzie potrzebne i wskazane, jednakże dodał, że u niego tego nie zrobią. Gdym wyjaśnił, że sam cesarz niemiecki pierwszy poddał się temu ograniczeniu, bardzo cesarza pochwalił, ale zapewnił, że dla niego musi być zrobiony wyjątek. Chłopu nikt nie wytłumaczy, że jeżeli przegrał proces we wszystkich instancyach, to sprawa bez ratunku pogrzebana – wie, że jest taka ustawa, ale prosi posła, a w razie odmowy sam jedzie do Wiednia, na audyencyę do cesarza, ażeby cesarz dla niego jednego zrobił od ustawy wyjątek i pozwolił dalej się procesować. Tylko dla niego jednego i tylko ten jeden raz.

Wesołe są zakazy przejścia, przejazdu, rowerowania, kąpieli. Co raz „ktoś niepowołany, wyczytawszy zakaz, przekracza go, a pociągany do odpowiedzialności mówi: „No! mnie przecież chyba karać nie będziecie."

Gdy we Lwowie zbudowano nowy dworzec kolejowy, zakazano przechodzenia z torów do budynku na przełaj przez szyny, lecz urządzono z każdego toru osobne dojście tunelem popod szynami. W pierwszych dniach po oddaniu tego dworca do użytku publicznego, wielu ludzi, nie wiedząc o urządzeniach, próbowało przechodzić przez szyny na poprzek. Znalazł się jakiś dobrodziej ludzkości na jednym z peronów i przez kilka godzin bawił się naprowadzaniem i pouczaniem niewiadomych podróżnych, z miną mędrca i ojca. A kiedy już znudził się tą funkcyą i postanowił odejść do domu, strzelił jak z procy na poprzek szyn i peronów. Jakiś kolejarz zatrzymał

go w pochodzie i powiedział naukę, którą zatrzymany ze sto razy tego dnia powtórzył. Oburzył się ten jegomość na taką przeszkodę: „Jakto? Mnie pan to będzie mówił? Nie widziałeś, jak ludzi naprowadzałem na przepisaną drogę, ażem zachrypł? Możesz Pan być przekonanym, że zarządzenie znam – ale mnie przecież zaufać można, że idąc w poprzek nie dostanę się pod pociąg."

Gazety nie podały nazwiska tego pana i dobrze się stało. On powinien zostać bezimiennym, bo jemu na imion Miliony, bo każdy Polak jest do niego podobny. Ten bezimienny pan zasłużył na pomnik, bo jest symbolem, typem narodu. Każdy Polak chętnie mówi o prawach i przepisach – każdy jeszcze chętniej udziela nauk, wskazówek, decydujących porad drugim – każdy zżyma się, gdy widzi nietrzymanie się praw, ustaw, wskazówek, przepisów: cierpi nad tem nietylko moralnie, ale i fizycznie. Nigdzie nie ma tylu nauczycieli co w Polsce. Stańczyk omylił się, twierdząc, że lekarzy jest najwięcej. Dziesięćkroć liczniejsza jest rzesza tych, którzy drugim udzielają pouczeń, wskazówek, poleceń, rozkazów w sprawach mowcy nie obchodzących, tylko słuchacza. Każdy się czuje prawodawcą, źródłem prawa. Ale równocześnie każdy wysypawszy stosy tych pouczeń, nakazów i przepisów jest przekonany, że one winny obowiązywać wszystkich bez różnicy, oprócz niego samego....

—

Czytam na nowo Szekspira. Klękać przed głębokością wejrzenia w dusze serca i słabości ludzkie. Zdaje się, że suma wieszczów pierwszorzędnych nie da tak rozmaitego i prawie wyczerpującego obrazu ludzi, człowieka. Nie trudnię się teraz krytyką, więc uzasadniać tego nie będę – musiałbym zresztą tomy pisać, a pytanie, czy wiele z tego nie jest już przez kogoś znacznie lepiej napisano. Stanowczo jest to największy znawca ludzi, największy ich odtwórca, a więc i największy poeta na świecie.

Aby zaś dać miarę mego nastroju dzisiejszego, przyznam się, że teraz najgłębiej mną wstrząsnęła komedya: „Wet za wet" czy też „Miarka za Miarkę." Nie ze względu na głębię charakterów, czy budowę, czy zbiorowisko typów nadzwyczajnych, ale ze względu na filozofię Szekspira, jaką się stąd

wyczuwa. Jest to pobłażliwe rozczarowanie, prawie pesymizm. Poeta przeznał na wskróś duszę ludzką, namiętności, popędy, ~~zna~~ wie, jak się rodzi cnota, zbrodnia, małość i jak się rozwija - zna całego człowieka. I po wielu latach dojdzie do przekonania, że nie ma form współżycia, rządów, organizacyi, któreby oddane zbiorowisku ludzkiemu nie spaczyły się. Najlepsze prawa, najwznioślejsze religie, najpiękniejsze idee, które mają być wykonanemi przez ludzi, odrazu spadają w błoto i przemieniają się w narzędzia do torturowania innych.

Szekspir to wiedział, do czego my dochodzimy po przejściu tylu rewolucyj, wiar w republiki, konstytucye, lud, narody i td. Cnota, umieszczona na czele rządów, staje się tyranią, gorszą od tyranii uzurpatorskiej. Po osobno biorąc są ludzie i dobrzy i zacni i wielcy nawet - w zbiorowisku wyłazi nikczemność maszyny.

I przypominam sobie, jak Krasiński odmawiał Szekspirowi prawdziwej wielkości za to, że nie znalazł tam systemu filozoficzno-teologicznego z dokładnem rozprowadzeniem Boga, jego stosunku do ludzi i wskazówek, według których ludzie mogą się zbawić, a narody podnosić. A ja za to właśnie, za ten brak wielbię Szekspira najwięcej. W tem zarysowuje się najwidoczniejsza różnica między Polakami, nie umiejącymi żyć, ba niechcącymi żyć, a Anglikami, którzy żyją i rozwijają się.

U nas każdy, kto dwa rymy do kupy związał, ogłasza się za wieszcza, proroka, a każde słowo swoje, podyktowane często kłopotem o kozi-[illegible], ogłasza za dogmat, objawienie, przykazanie, ba całkiem praktyczną wskazówkę. I namnożyło się tych proroków, którzy frazesami nadziali naród tak, że dziś jeszcze nie mamy szewców, rolników, kupców, uczonych, a posiadamy znachorskie recepty na zmartwychwstawanie narodów, na tworzenie państw z niczego - na nieszczęście przy każdej próbie zastosowania recepty te okazywały się trującemi, zawodnemi. Ale to nas nie zraża bynajmniej - wyszukujemy błąd w jakimś rachunku - „gdyby Chłopicki, czy Skrzynecki był zrobił to a to" - „gdyby Langiewicza nie zamknięto do kozy w Tarnowie" itp. „gdyby", które utwierdzają w nas przekonanie, że dość dubeltówkę wziąć kiedykolwiek do ręki, a Polska będzie wolna, przekonanie, że recepta jest niezawodna, tylko konowałowie

nie umieli jej zastosować.

Dziwimy się, dla czego obcy nie chcą naszych poetów czytać, mimo takiego ogromu uczucia w nich, że poprostu poza krańce człowieczeństwa wybiega. Ba! Gdyby ci poeci dawali tylko wyraz temu uczuciu, każdy by ich zrozumiał — ale oni tworzą nowe wiary i zaklinają się, że je mają wprost od Boga. Cudzoziemiec szuka twórców, a znajduje wizyonerów, którzy nadają się do poezyi psychopatycznej.

Bierzmy tak poprostu: „Grażyna" to porządna, poprawna powieść poetyczna, bez której znajomości można się obejść. Wallenrod jest jeszcze zrozumiały, mimo romantycznego nieporządku, ale to nie człowiek, to idea poety. Realnego w tem nic niema, a idea sama jest wysoce naciągnięta — droga narodom ujarzmionym, ale niezrozumiała, nie odczuta przez członków narodów wolnych. Z „Dziadów" Gustaw byłby pięknym poematem miłosnym, wartości ogólnoludzkiej, gdyby nie to, że chce być osobą sztuki, że ma interlokutora i że cały ten niezmiły, a niezrozumiały i niezasadniony kostyum upiora z duchami i pozorem samobójstwem, zostawia pytanie: czyżby cywilizowany poeta wierzył w upiory? Cała scenerya psuje poemat, który inaczej mógłby być najpiękniejszym wyrazem pewnego, niemęskiego gatunku miłości.

Ale część III oprócz balu u senatora jest absolutnie dla niepolaka nie do przełknięcia. Ten szczyt natchnienia, wizyi, zwany Improwizacyą, jest równocześnie szczytem obłędu. Jakto? Więc poeta, któryby napisał już nie kilka ballad i sonetów, ale Szach-Nameh Firdusiego bez gorączki może się równać z Bogiem, może nie w halucynacyi twierdzić, że wedle kaprysu zatrzymuje ptaki, ba nawet gwiazdy w obiegu!? Chwali się, że nie próbował świata zniszczyć. Szkoda! Niechby był popróbował.

Tak realistycznie brać przenośni biblijnych i wyrażeń poetycznych, nie bierze żaden naród na świecie.

Jeżeli „Pana Tadeusza" cudzoziemcy nie czytają z powodu egzotyczności życia szlacheckiego, to my raczej cieszyć się z tego powinniśmy niż smucić. Tam jest prawda, ale ta prawda tak nas zabija przed światem, że słusznie Fredro nazwał poemat satyrą na szlachtę polską. Toż i ten, ktoby chciał potępić naród polski, nie mógłby gorzej przedstawić naszej niezdatności do samodzielnego życia. Odjąwszy jedynego Robaka

widać tam tylko bezbrzeżną bezgraniczną głupotę od nadętego Podkomorzego, co się nigdy w chwili potrzebnej Karabeli doczekać nie może, aż do najtępszych Kropicielów, Szydełków i Saków. Co za menażerya bezmyślnych, zakutych, tępych osłów!

I niech nikt nie mówi, że osoby z Hermana i Doroty nie są mędrsze. Tam aptekarz i karczmarz odpowiadają za swoje interesy, na których się rozumieją, może należą do zarządu miasta i na tem również się rozumieją, ale ich krajem rządzi jakiś książę z ministrami i rzeczy wielkie, sprawy ogólne mają swoich kierowników, którzy do zadania dorośli, jak widać ze spokoju i ładu w tem miasteczku.

U nas było inaczej. Te Wilbiki, Skołuby, Kropiciele, to była śmietanka narodu, to ów stan rycerski, mający pod swojem niepodzielnem panowaniem 9 milionów chamów, łyków i żydowinów, stan, który wybierał posłów, rozstrzygał o wojnie i pokoju, obmyśliwał zabezpieczenie Rzeczypospolitej. Kto w nim teoretyczny aplauz pozyska? W dyskusyi akademickiej Kropiciel, gdy twierdzi, że nawet w wojsku komendy i zarządu nie potrzeba. Za serce chwyci Hrabia, gdy da pić — do czynu pociągnie Gerwazy, gdy zaproponuje obrzydliwą, pół złodziejską, pół zbójecką burdę. Tacy ludzie rozstrzygali o składzie Sejmu, w którym spoczywał majestat Rzeczypospolitej. Gdyby nie olbrzymia doza poczciwości, to ich głupota byłaby odrażającą. Płytki, nadęty kabotyn dostojności Podkomorzy odbiera od nich, ba od wyższych niż oni ukłony na kolanach, uszanowanie ze ściskaniem stóp. Głupi jak stołowe nogi Sędzia, który wojażował aż do Dubna i Piotrkowa (Jezus! co za wojaż) może być ich wodzem.

Pan Tadeusz jest najpiękniejszem arcydziełem sztuki — ale dla rozważającego Polaka najbardziej zawstydzającym dokumentem. Arcydziełem artyzmu najwyższem i dokumentem przez swoją prawdę najstraszniejszym jest „Rada". To typ wszystkich polskich narad, to streszczenie wszystkich sejmów od czasów Jana Kazimierza aż do pierwszego rozbioru, to wzór wiecznie powtarzany przez spiskowców, powstańców itd. Na samym początku pyta Maciek, jaki jest przedmiot narady? Nikt nie umie odpowiedzieć. Na całym świecie odroczonoby obrady aż do otrzymania pewniejszych wiadomości. U nas nie tak. Ponieważ nie wiemy, o czem naprawdę mamy radzić, więc właśnie najlepsza sposobność do wygadania się i do rozpoczęcia narad. I gadają. Jezus! jak gadają. Wreszcie

wyłania się projekt zawiązania Konfederacyi, wyboru marszałka, stworzenia jakiegoś zawiązku władzy, zwierzchności, kierownictwa. Ponieważ w tem bezhołowiu był to ostatecznie jedyny rozsądny wniosek, więc naturalnie nie mógł być przyjętym. Naprzód staropolskie „veto" ze strony najlepiej przypadającego do serc pyskacza, który był zwolennikiem wojska bez oficerów i komendantów. A potem druga arcypolska cecha: Kto wybierze zarząd, ten będzie miał wpływ. Dobrzyńscy chcą sobie sami wybrać marszałka, ubiedz wszystkie partyjki i chociaż mniej liczni zgodzić przez ten jakobiński środek innymi. Skołubowie, Mickiewicze, Stypułkowscy protestują przeciw takiemu gwałceniu równości.

Jak to przypomina walki czerwonych i białych w 1831, w 1863. Jedni i drudzy zgadzali się na powstanie, które akurat tak samo miało sens, jak szlachecka wywołana Konfederacya w Nowogródzkim powiecie w 1811. roku. Ale tu chodziło o to, aby mniejszość mogła zgodzić większością i narzucić jej swoją wolę – o jakobinizm chodziło. I teraz od 1912 roku walka między tymczasówką, a narodowymi obozami szła nie o cel, zasadę i środki, ale o narzucenie władzy całości przez jakobińską mniejszość. I nawet przyjmowana ugoda z 16 sierpnia 1914. nic nie pomogła – jakobini rządzą, a wyrazem ich rządów rozstrzeliwanie endeków w Kieleckiem, denuncyowanie przeciwników partyjnych przed rządami austryackimi i pruskimi. Nic a nic się nie zmieniło.

Wreszcie, kiedy się wygadano o powstaniu przeciw Rosyi, o Francuzach i o połączeniu Litwy z Koroną – bardzo wielkie i wysokie tematy – skończono na jednomyślnej wyprawie rabunkowej, na duszeniu kur i gęsi, oraz zjadaniu kradzionych wołów i spijaniu kradzionych trunków. Wątpliwości rozwiązał, rozbieżne wnioski sprowadził do jedności Gerwazy, skoro tylko ~~do tych~~ te wysokie tematy zastąpił prywatną mściwością, wnioskiem na wyrównanie partyjnych, wówczas jeszcze sąsiedzkich porachunków. Ale w tych stosunkach sąsiedzkich partyjność była, boć z jednej strony szli chodaczkowi, a z drugiej napadniętym był possessionatus.

I teraz kłócono się o oryentacye, o stosunek do Prus, o cel i środki – zgodził wszystkich Piłsudzki orędziem z Krzeszowic z 14 sierpnia 1914, gdzie zapowiedział, że celem wyprawy jest wywieszanie endeków w Warszawie. Na ten temat pisał dalej Sokolnicki w Kieleckim „Dzienniku urzędowym" i dosnuwał go dalej Srokowski w Reformie. Jak się nic nie zmieniło od owych czasów, że nawet szczegóły się zgadzają:

Gdy zaczęto potępiać Sędziego, to Konewka nawet w trzeźwości Sędziego znalazł rys karygodny, a Srokowski uznał w zabiegach Dmowskiego, poczynionych w Londynie celem postawienia kwestyi polskiej, zbrodnię, która kwalifikuje pana Romana do szubienicy, a w każdym razie sprawia, że „na ziemi polskiej miejsca dla p. Dmowskiego nie ma." A jak grzmiące frazesy, oznajmiające, że myśleć nie trzeba, są z ust Kropiciela i Gerwazego chciwie wysłuchiwane. Gerwazy troskę o politykę zostawia sejmowi, senatowi, ministrom – których nie ma – potem powstańcy zwalili tę troskę Panu Bogu na barki – a dziś tymczasowiacy rządowi austryackiemu.

Zaczęto się projektem o wskrzeszeniu ojczyzny, a skończyło się na rabunku i opilstwie. I teraz zaczęto się od frazesów niepodległości, a doszło do rabunków, denuncyacyi i rozstrzeliwań oraz gwałcenia w Kielcach i w Zagłębiu. Tam wpadający na pijanych renegat i łapownik Moskal wystąpił jako stróż ładu i bezpieczeństwa publicznego wobec niepoczytalnych – tu na szczęście przyszedł rząd austryacki ze swoimi oficerami i położył tamę nadużyciom, dokonywanym przez oswobodzicieli na oswobodzonych.

I jeżeli Pan Tadeusz jako dzieło sztuki jest cudownością, a jako dokument historyczny ma wagę większą niż najlepsze pamiętniki – to jednak obraz społeczeństwa jest dla nas dziwnie zawstydzający i lepiej że go obcy nie czytają. Jest jednak obrazem tem prawdziwszym i tem bardziej zawstydzającym, że po zmianie kostiumów pięknie wiernie oddaje także i stan dzisiejszy. Tam jedyny Bartek Prusak – o Wielkopolskę się otarł – pragnie rozsądku i rozsądnie mówi, to też na początku zamianowano go tchórzem. Dziś nas pomianowano nietylko tchórzami, ale zdrajcami – dlatego tylko, że chcieliśmy sprawy polskiej, bez innych ubocznych domieszek, polskiej, narodowej.

Mickiewicz miał w sobie ten praktyczny realizm, który cechuje naszego chłopa. Bo też pochodził z zaścianku, a ówczesny chodaczkowiec nie różnił się od dzisiejszego gospodarza. Dlatego to sam siebie prorokiem nie ogłosił – a kiedy cierpienia powołały go w mistycyzm, stał się ~~proroki~~ apostołem i ewangelistą innego proroka: Towiańskiego.

Ale inni wprost się pomianowali osią ojczyzny i prorokami. Ten cudowny Słowacki przecież twierdzi rzeczy oburzające. Nic cudniejszego niż Anhelli jako nastrój, jako obraz cierpień narodu, ale też nic bardziej oburzającego, niż ten sam Anhelli jako morał i praktyczne wskazanie.

Anhelli za to, że nic nie robi, że nawet nie wyróżnia się mówiąc: oto myślę o zbawieniu ojczyzny i za to, że nie wie o swojem przeznaczeniu, staje się ofiarą zbawiającą ojczyznę. Jest to lenistwo polskie i bezmyślność podniesiona ponad zasadę, do rzędu jakichś cnót heroicznych, które na równi z męką Chrystusową odkupiają narody.

I tak się ta myśl Słowackiemu, który poza literaturą niczem się nie zajmował, ~~spowodowała, że~~ spodobała, że aby ją dokładniej przeprowadzić, zamianował siebie osią dziejów i rozwoju Polski, nazwał się królem duchem i zaczął opisywać swoją metampsychozę od Popiela do dni ostatnich. Anhelli byłby ostatnim rapsodem Króla-ducha. Te więc niezwykle nastrojowe i impresyonistyczne obrazki jak Popiel I, sen Kraju za Popiela III., Piast i Mieczysław – fantazye dobre do artystycznego rozkoszowania się, ogłasza za objawienie Boże, za alfę i omegę świata i ojczyzny, za dziejowe zdradzenie tajemnic niebieskich, uczynione pod dyktandem Boga, który się nie zgadzał na zdradzanie wszystkich tajemnic. A sens moralny: Słowacki a Polska to jedno, bo on ją tworzył przez tysiąc lat dziejów, wcielając się ciągle w coraz innego króla, a zdobywszy na własnej skórze doświadczenie, jak się państwa dźwiga i rozpręża, obecnie wzbogacony wiedzą zamogilną swoich kilkudziesięciu wcieleń, stanowczo odbuduje ojczyznę. Szkoda, że mu suchoty nie dozwoliły dotrzymać przyrzeczenia.

Ton żąda, abyśmy te objawienia brali poważnie, jako pismo św. jako receptę na wskrzeszanie narodów. A tak mu nie poważnie jest z tą metampsychozą, że raz się zamianował Wodanem, czarnym bratem Ziemowita, a potem wyrzekł się tego czarnego charakteru – ale rapsod o Piaście zostawił, bez zmiany, bo już był napisany.

Krasiński inną znalazł religię: katolicko-hrabską. Oni wszyscy tworząc religie, nie silą się na pomysłowość, tylko ogłaszają drobne odszczepieństwa od Katolicyzmu. Jego Pan Bóg to taki wielki dyplomata, cierpliwy i uważny. Przez 4 tysiące lat czekał, kiedy będzie mógł posłać syna na odkupienie świata – nie dał się zbałamucić perskiej monarchii uniwersalnej – trzeba mu bowiem było połączenia całego świata w jednem ręku, aby się ewangelia mogła rozchodzić bez przeszkód celno granicznych – nie dał się olśnić ogromną monarchią Aleksandra macedońskiego; a nawet kiedy republika rzymska zabrała wszystkie brzegi morza Śródziemnego, jeszcze nie ufał – widocznie znał już wtedy losy republik francuskich – i dopiero, kiedy ce-

carstwo zapewniło pewną stałość rzymskim podbojom, powiedział sobie: teraz na mnie czas, poszłajmy syna na męki. Szkoda, że nie poczekał do czasów Attyli, albo Tamerlana, bo ci mieli większe państwa niż Rzym. Ponieważ zaś i Pan Bóg Krasińskiego jest wszechmocny, mógłby trochę cudu domieszać i tym uniwersalnym państwom zapewnić tyle trwałości, ile potrzeba na rozszerzenie ewangelii, a byłaby od Chin po Sudety sięgała, i Attyla zaś do oceanu Atlantyckiego.

Tego to medytującego Boga podsłuchał Krasiński i zapewnia, że ten Bóg zrobi Polskę i to Polskę dla hrabiów „a szlachta na czele", zawsze oni! Trzeba jednak dużo - mówiąc delikatnie - śmiałości, aby po sejmach 1773 1793, po Kossakowskich, Massalskich, Poniatowskich, Ankwiczach, Potockich, Rzewuskich, Branickich itd jeszcze mieć odwagę i żądać dla szlachty wyższego przodownictwa w narodzie: nie wedle zasług, lecz wedle urodzenia. Widocznie ten obrachowujący dyplomatycznie Bóg Krasińskiego postanowił wskrzesiwszy Polskę, dać szlachcie inne dusze. Gdy więc Polska dla wszystkich szlachty niechybnie powstanie, nie trzeba jej budować samymi, tylko do tego hrabskiego Boga się modlić. Nic dziw, że Krasiński nie myślał zastanawiać się nad duszą, narodowością i nędzą tłumem dziłopów, który mu państwowe robili; ani po miasteczkach ordynacyi opinogórskiej nad mieszczanami.

Niemniej jego Nieboska i Irydyon są dla cudzoziemców dostępnemi dziełami i można je policzyć jako dorobek polski do ogólno światowej literatury.

Mickiewicz narobił najwięcej spustoszenia między wieszczami, czy helikońskiemi żabami, ogłaszając rozum za nic w zestawieniu z uczuciem. On mógł to powiedzieć, bo sam przedeptał wszystkie obszary dostępnej wówczas nauki. Ale naśladowcy wzięli to dosłownie i uznali się za rozgrzeszonych, uwolnionych od pracy nawet naukowej. Lenistwo polskie zrzalało zasadniczo. Potem za warunek wieszczostwa uchodzi nic nie umieć, bo to strąca pytkowatą świeżość i bezpośredniości natchnienia. Zaarendowano natchnienie na wyłączny użytek i rymoklеci o niegramatycznym języku, niezdolni żadnego podmiotu obcego jako tako przyswoić, zaczęli prorokować. Stąd mamy dużo poetów, o których nazwiskach nie wiedzą nawet myszy, zagryzające ich bibelaste wydania, ale nie

mamy przyzwoitych tłumaczeń z obcych arcydzieł. Wieszcz nie chciał się poniżać do naginania karku pod obce wzory – musiał być oryginalnym, prosto z serca.

Im zaś mniej kto umiał, tem dokładniej przepisywał Panu Bogu jak ma światem rządzić i wyznaczał mu termin na wskrzeszenie Polski. Każdy miał swego Boga, na jakiego stać go było, najczęściej nie z pobożności i wiary, lecz dlatego, że Bóg jest ważną dźwignią wielkiej trójcy i że dla zapewnienia powagi swym wierszom, powoływał się na autorytet samego Boga, który miał mu dyktować w pióro koszlawe wiersze. Wszystkie te religie i objawienia są podobne do czkawki po opchaniu się Mickiewiczem, Słowackim czy Krasińskim.

Dla człowieka ze zdrową głową jest wytchnieniem po tych niby fantazyach przeczytać Szekspira.

I gdy się tak bierze naszą literaturę, a jakąś obcą – aż wstyd zbiera na monotonność naszych wierszów. Furt prorokują. Powieściopisarze rozwiązują sobie zagadki ogólno ludzkie lub polskie, zawsze z zakresu, gdzie granicy Bóg i natura, to znaczy tam, gdzie wiedzy nie potrzeba, gdzie wystarcza intuicya, a każdy się przysięga, że ją posiada w wyjątkowym stopniu.

Sienkiewicz zabrał się po ludzku z talentem i wiedzą do odtworzenia podniosłych chwil w życiu narodu i świata – to też choć dzieła jego są znane na całym świecie – mafia wieszczów nawet progą piszących nie chce go uznać. Niedawno wyliczano w „Polen" imiona żywych i umarłych, będących chlubą współczesnej Polski, ale zapomniano o Sienkiewicza i Rejmonta. Tymczasem Sienkiewicz zrobił więcej niż wszystkie pokolenia wieszczów i artystów od połowy XIX wieku, bo wzbudził naród. Wiem sam, że na wschodzie dwa tylko miałem środki niezawodne dla przypomnienia zruszczonym łatynnikom, że są Polakami: trylogię Sienkiewicza i wycieczkę do Krakowa. Gdzie oba środki mogłem zastosować, tam świadomość narodowa tak jest silna, że Moskale muszą bodaj jedno pokolenie chłopskie przeczekać, nim ich od pnia ojczystego będą mogli oderwać.

Nasz literat zna się tylko na dwu sprawach: na malarskości krajobrazu i ludzi – boć już Mickiewicz w Panu Tadeuszu pozostawił niedoścignione opisy natury – tudzież na objawianiu tajemnic,

niedocieczonych, nieodgadniętych, niepojętych filistyńskiemu oku a dotyczących dziejów świata, zamiarów i wyroków Bożych, nieodmiennych praw konieczności lub też drgnięć duszy ludzkiej. Tymczasem w „Wilhelm Meister" jest więcej trafnych spostrzeżeń co do ludzkiej duszy niż w wagonach naszych wieszczych produkcyj, ale jest i znajomość kupiectwa, rzemiosł, teatru, sztuki, rolnictwa, górnictwa, administracji i nauk ścisłych jak geologia, ba pedagogii nawet. A jeżeli chodzi o rozmaitość środowisk, to jest tam i socjalistyczne państwo przyszłości z upodobaniem malowane i mnóstwo codzienności, dla polskiego wieszcza prawie trywialnej i najwyższy, ale prawdziwy ludzki mistycyzm w Bekenntnisse einer schönen Seele, która śmiało może zająć miejsce obok św. Tomasza a Kempis, jako budujące pismo religijne.

Ale zato, że Goethe uważa się tylko za poetę środowiska, nie zaś proroka, podsłuchującego Pana Boga przy porannej herbatce w niebie, opisuje życie codzienne, czasem nie do zniesienia codzienne i wielkość jego tem mocniej się odbija, że obok natchnień faustowych, prometeuszowych, niekonsekwentnych, ma także i tę codzienność; zato Niemcy mają uczonych, górników, hutników, filozofów, kupców, rzemieślników, fabrykantów, rolników – a my próżnującą garść pseudointelligencji niemyślącej i miliony niezaradnych nędzarzy.

Ziemi się trzymać i środowiska jak Szekspir i Goethe, jeżeli chcemy na ziemi odbudować ojczyznę. Gdy zaczniemy pustą myślą marzyć, udając, że żyjemy w państwie duchów, to nam resztki ziemi spod nóg wydrą i nie pozwolą na budowanie Polski nawet w Ugandzie, nie nad Wisłą dopiero.

28. IV.

Śmieszna ironja losu. Dziś o ½ 8 rano minęło pięć miesięcy datami a 152 dni od chwili mojego aresztowania – i dziś właśnie kazał mi się p. rotmistrz wynosić z dotychczasowej celi Nr 51 na I piętrze, a przeprowadzić się na III piętro, do celi nawet nie numerowanej.

Siedzę więc w nowej siedzibie i piszę. Jest trzy razy większa niż dawna, ma dwa okna, jako narożna, jedno od wschodu z widokiem tym samym co dawniej, drugie od południa na Ostrawicę w górę i na Zarubki. Światła dość, przestrzeni dość, powietrze świeże – tylko okna małe, wysokie umieszczone w górze. Drzwi bez okienka dla wartownika, lampka elektryczna z tastrem w pokoju, więc mogę ją na noc gasić – w ogóle wszystko wygląda na wielkie sfolgowanie rygoru więziennego. Dwóch rzeczy brakuje, ważnych dla zamkniętego: pieca, na lato zbędnego i klozetu na wszystkie pory roku nieodzownego. Trzeba pukać pokornie, a tu kąt, do którego nikt nie zachodzi.

Żeby zaś figiel datowy miał i ciąg dalszy – to ten sam plutonowy Matzke, który miał służbę nocną 28 listopad z.r. i mnie odbierał z rąk żandarma, jest komendantem czy klucznikiem III piętra i w równą miesięcznicę pomagał mi urządzać sobie mieszkanie, przyjmował mnie w swojem królestwie.

Jest późno wieczorem i notuję ten ciąg okoliczności za świeża. Gdy mnie przyprowadzono, dostałem celę z krzyżem nr. 40 na parterze. Cela ta przeznaczona dla skazańców, których za 2 godziny ma się prowadzić pod słupek na rozstrzelanie. W pierwszych dniach grudnia dano mi towarzysza Ladislav Pospíšil z Prościejowa. Gdzieś 9. XII przeniesiono nas obu do celi 51 na I piętrze, gdzie już był pan Stefan Ligocki z Królestwa, internowany. Ten odszedł koło połowy grudnia do Kończyc, gdzie przebywają internowani, a nam dano wkrótce za kompana p. Jana Przewoźnika z Zarzecza obok Strumienia na Śląsku. Pospíšil wyszedł na wolność w lutym, Przewoźnik w marcu, a ja uprosiłem, że mnie zostawiono samego.

29. IV.

Obudziłem się pół do czwartej, a wstałem jak zwykle o piątej. Czas jest tak cudowny, a z moich okien kolejno widać tyle słońca i cudów w słońcu, że nie mogę pisać, czytać, myśleć, że pragnąłbym być poetą i jakieś osobliwe pieśni tworzyć pod wpływem tego podrażnienia nerwów, przez tryumfalne światło, srebrzystą a świetlną mgłę prawie złotawą zieleń pierwszych liści na drzewie. Nawet ostrawskie dymy

nabierają w tem oświetleniu malarskich zalet. Może do tego roztrzepania przyczynia się i to, że przedwczoraj i dziś tytoniu nie palę – a byłem palaczem bardzo porządnym – do 80 papierosów dziennie – więc takie nagłe ucięcie czyni w nerwach przewrót mocny. Bóstwu wiosny składam tę ofiarę, że od kilku dni taką cudną daje pogodę, że na dzisiaj wśród pogody funduje mi pełnię i że mnie wyniosło na III piętro, abym lepiej te cuda oglądał. Żegnajcie wrogowie, przyjaciele, troski o ojczyzny, narody – chcę słońca i blasku, a jeżeli zaś niezadługo i tak umrę, to niech się wiosną i słonkiem nacieszę. Adieu!

---

30. IV.

Byłem prawie od początku wojny – to jest od ~~...~~ drugiego kwartału – przekonany, że niemieckie dwuprzymierze powinno tę wojnę wygrać. Rozumie się pod warunkiem, że jakaś nieprzewidziana niespodzianka nie zaskoczy – za taką nieprzewidzianą nadzwyczajność uważam 1) głód w Niemczech i w Austryi, 2) wmieszanie się Włoch lub innych państw neutralnych na korzyść trójporozumienia, 3) jakieś rewolucye. W pierwszym kwartale wojny moja prognoza zmieniała się kilkakrotnie – od drugiego do dzisia nie potrzebowałem nic zmieniać w przewidywaniach. Gdy tylko okazało się, że wola, animusz, karność, jednem słowem: duch ma i w tej nowożytnej wojnie, przy takich technicznych środkach, jednak wiele do mówienia, od razu można było przewidzieć, że zwycięstwo dostanie się Niemcom. Ich siła rozpędowa jest bardzo młoda. Zaledwie 40 lat minęło, jak nad starogermańskiemi plemionami objęli komendę zgermanizowani Słowianie i Łotwa, nacyonaliści zaciekli jak każdy neofita, pragnący sławy, jak każdy parweniusz, łaknący łupu, jak każdy dorobkiewicz, wierzący w siebie – niedarmo z niczego do cesarstwa doszli – i tę wiarę przelali w resztę germańskich szczepów. Militarny ustrój, zaborczość, pycha, wszystkie pruskie cechy przenoszą się na całe Niemcy. Jest to nowy ożywczy, twórczy, rodzajny pierwiastek, nowa idea, która zwyciężyć musi, bo żaden z Niemców w tę ideę nie wątpi. Nieprzyjaciele Niemiec są co do idei pozbyci. Anglicy i Francuzi nie chcą zdobywać – najwyżej zaasekurować się przeciw ~~...~~ zaborowi. Idea, jaką Anglia żyje, pochodzi jeszcze od Elżbiety, to panowanie na morzu – ale hasło dawne, do którego zastosowywania w życiu wytworzyły się już przez 400 lat sposoby, uznane za niezawodne, szablon, maniera. Niemcy o tyle są wyżsi, o ile życie, które chce tworzyć, wyższe jest od biurokratyzmu, załatwiającego kawałki wedle utartych formułek. Francuzi żyją wspomnieniami: wyczerpali się na wielką rewolucyę i Napoleona, a do dzisia kłócą się, które z tych dwu zjawisk ma przedstawiać wyższą chlubę przeszłości. Rosyjską siłą

rozpędową jest Piotr Wielki i jego testament. I znowu ta siła rozpędowa przez 200 lat miała czas zmanierować się, a przez to osłabić. Niemcy zaś dopiero przed 40 laty połączyli się w państwo narodowe pod hegemonią pruską, powiedzieli sobie, że ich celem jest panowanie nad światem, przysposobili środki materyalne i moralne do tego celu, i dziś podczas wojny dopiero tworzą nowe kierunki, doświadczenia zbierają i szukają form dla rozpierającej ich siły.

Austrya tu się nie liczy. Chcąc ratować się jako państwo, zagrożone przez trójporozumienie musiała się oprzeć na Niemcach. Zresztą jest i ona państwem niemieckiem. W Przedlitawii rządzą Niemcy, a w Zalitawii Madziarzy oparli się o Niemcy, aby sztucznie utrzymywać jednolitość państwa, które jednolitem nie jest. Wobec tego, oba sprzymierzone państwa można nazwać bez omyłki niemieckimi, tem więcej, że walczą o zapanowanie Niemczyzny nad światem.

Mając takie zapatrywanie, byłem spokojny, bo mi się w głowie jasno układały stosunki świata po wojnie. Włochy mnie niepokoiły. Włochy mogą zrobić podwójny interes na tej wojnie, a jeżeli przedyplomatyzują, gotowe odejść z kwitkiem. Dwuprzymierze może im odstąpić Trentino i zgodzić się na zabór wielu wysp greckich, a gdyby zwyciężyło, dać im Tunis, Korsykę, i może jeszcze jaką kolonię. Trójporozumienie może dać im Tryest, Dalmacyę, Albanię, południową Anatolię i moc kolonii, naturalnie wyłączne panowanie nad Adryatykiem i ewentualnie wschodnią częścią morza Śródziemnego.

Według mnie dary trójporozumienia są łatwiejsze do wzięcia i zatrzymania, oraz dają możność rozwoju logiczniejszego i trwalszego dla Włoch. I z końcem marca, a w pierwszych tygodniach kwietnia wydawało się rzeczą pewną, że z nastaniem ciepła Włochy wezmą udział w wojnie po stronie trójporozumienia, a przeciw dwom niemieckim sprzymierzeńcom.

Nagle zaczęło być w gazetach cicho o Włochach. Potem znalazło się powiedzenie publiczne jakiegoś wpływowego Węgra, czy nie Apponyego, że Austrya chętnieby pomówiła z Włochami, tylko niechże Włochy sprecyzują swoje życzenia i sposób pomówienia. Następnie przed kilkoma dniami wszystkie niemieckie gazety roztrąbiły jakoby na komendę artykuł „Messagero”, gdzie powiedziano, że miejsce Włochów jest po stronie niemiecko węgierskiej – albowiem zwycięstwo strony przeciwnej jest równoznaczne z rozszerzeniem imperyalizmu słowiańskiego na Bałkan, czyli jest wykluczeniem dla Włoch możności rozwoju w tym kierunku, ~~a równo~~ i odbiera im wyłączność panowania „Alleinherrschaft” na Adryatyku. Dotychczas na Adryatyku panowały Austro-Węgry, a nie Włochy. Jeżeli niemieckie

gazety, jakgdyby na zamówienie przytaczają ten artykuł, jako dowód, że Włochy do wojny przeciw dwuprzymierzu nie pójdą, to jest w tem wskazówka, że ze strony dwuprzymierza ofiarowano za neutralność Włochom wyłączne panowanie na Adryatyku i Włochy ofertę przyjęły.

Dwuprzymierze zrobiło ofertę – Austrya sama jedna płaci. Nie wiem czy Trentino już odstąpione czy nie – ale jeżeli się Włochom pozwala na zajęcie Albanii, to można im oddać jeszcze i Tryest i Istryę, wogóle czego reszta, bo Adryatyk staje się prywatnym stawem włoskim, skąd między Brindisi a Walonę wydostać się można na świat tylko za pozwoleniem Italii. Takie załatwienie sprawy jest pogrzebaniem mocarstwowego stanowiska monarchii. Gdy monarchia morza mieć nie będzie, popadnie w zależność od Niemiec i Włoch, jak przed laty Serbia była w zależności od Austryi i Turcyi. I ta zależność wywołała w niej taką niepoczytalną wściekłość – widocznie platoniczną nie była.

Gdy więc Austrya ma płacić koszta wojny, a raczej koszta zwycięstwa, to poco było wojny, a gdy jest, czemu jej na własną rękę nie skończyć, czemu nie ratować resztek powagi?

Niemcy już wypisują, że wynikiem wojny będzie zespolenie monarchii z Rzeszą przez wspólną unię celną. Unia celna, to uczynienie z Austro-Węgier Kolonii niemieckiej pod bokiem, a nie za morzami. Czy nasi politycy tego nie widzą? Czy nienawiść do Słowian tak ich zaślepiła, że nawet Madziary wolą pozbyć się samodzielności, byleby jeszcze na jakiś czas uzyskać możność gnębienia Słowaków, Rusinów, Kroatów i Serbów?

Nareszcie i w Austryi się obudzono. Przez ostatnie 3 dni drukowano wykład wypadków wojennych, uczyniony przez główne biuro prasowe, gdzie wyraźnie wykazano, że po nieszczęśliwej bitwie między Złoczowem a Przemyślanami strategiczne względy kazały wycofać się za San i tam przedsięwziąć ugrupowanie armii. Ale w tym wypadku zachodziła obawa, że Rosyanie wpadną do Niemiec. I ażeby Niemcy od najazdu obronić, kierownictwo armii austryacko węgierskiej podjęło się ustępować krok za krokiem i czynić opór najeźdźcy. Z tych względów przyjęto bitwę zwaną lwowską na linii Krasne, Busk, Pomorzany – potem bitwę Rawa ruska – Gródek i Gródek – Komarno itd.

W ten sposób armia nasza, walcząc z wielkiem marnowaniem krwi utrudniała rosyjski pochód i ratowała Niemcy od najazdu.

Dziś zdaje się, że Niemcy zadowoleni z faktu, iż na obu frontach walczą poza własnym krajem, na ziemi nieprzyjacielskiej, że więc nie mają wroga w domu, muszą Austro-Węgrom okazywać swoją wyższość, a może nawet zamyślać o pokoju. Opieram to na przytoczonych poszlakach powyżej – nic pewnego nie wiem, a jednak

w tych poszlakach znajduję echo obaw, jakie żywiłem od 1910 i wcześniej, jakim nieraz dawałem wyraz i za jakie mianowano mnie potem honorowym włoskalem.
Jestem pewny, że jeżeli Austrya uległa szantażowi czy wymuszeniu włoskiemu, to uczyniła to na żądanie Prus. Dla nich jest to interes: kupują za tę radę przyjaźń włoską, osłabienie i zupełną zależność Austro-Węgier. Czyli do nowej wojny mogą wystąpić wzmocnieni o wzmożoną potęgę włoską, mając Austryę jako Zoll- czyli Bundesstaat i tak już w swojem ręku.

Ale, jeżeli Austrya chciała być rozbierana, to mogła tańszym kosztem wojny uniknąć. Wystarczyło nie przeszkadzać Serbom w dążeniu do brzegów morskich, pozwolić na zajęcie kawałka Albanii w tym celu, albo dać kęs Hercegowiny i byłby koniec, a może nawet przyjaźń sąsiedzka z Serbami. W każdym razie do tej wojny byłoby nie przyszło.

Tymczasem zgoda na zajęcie Walony, czy całej Albanii przez Włochy jest utratą morza, a więc wyjścia na świat dla monarchii. To strata nie kilku powiatów, lecz swobody ruchu, handlu, rozwoju, to utrata mocarstwowego stanowiska. Trentino, Tryest, Istrya, a nawet Dalmacya są tylko okrasą, przyczynkiem, powiększeniem upokorzenia i upadku. Właściwy upadek leży w zamknięciu morza przez Włochów. Gdyby Serbowie i Grecy byli się podzielili Albanią, byłoby do tej krzywdy, jaką jest zabór bułgarskiej Macedonii przez Serbów, nie przyszło – na Bałkanie byłby spokój; Serbów pilnowaliby Bułgarowie, Rumuni, Grecy. Zresztą pytanie, czy Serbowie uzyskawszy możność rozwoju przez wolny dostęp do morza, nie obruszyliby się przeciw narzucanej im roli podpalaczy moskiewskich. Może obudziłaby się duma narodowa, poczucie własnej siły i chęć służenia swoim celom, a nie wysługiwania się obcej polityce.

Ale przypuściwszy nawet, że te przewidywania są bezpodstawne, byłby jeden fakt: oto wyjazd z Adryatyku, cieśnina Otranto należałaby do dwóch właścicieli, nie do ~~tego~~ jednego, czyli Adryatyk byłby morzem otwartem. Zdaje się że austryacka dyplomacya kierowała się: a) nienawiścią do Słowian b) madziarską nienawiścią do Serbów c) złośliwością i nieznajomością faktycznych stosunków w Albanii, skoro się uparła przy utworzeniu niezależnego państwa z Albanii. Tworzono je dla Włoch. Co więcej Austrya utrzymywała w Albanii katolickie szkoły, w których językiem wykładowym był włoski.

Złośliwość, która rozjątrzyła cały Bałkan, mści się na Austryi. Tworząc Albanię z takim trudem, dobywano z ognia kasztany dla najchytrzejszego wroga dla Włoch. Dziś daje się to „sprzymierzeńcowi" jako niskorową łapówkę za neutralność: łapówkę uchwalają obaj sprzymierzeńcy, ale wypłaca bezzwrotnie jedna Austrya.

A co dalej? Czy to służenie niemieckim, pruskim celom, z zapomnieniem o

własnych krajach i ich ludności, o przykazaniach strategii nie skończy się tem, że Prusy zostawią Austryę jej własnemu losowi, gdyby przyszło im okupywać swoją całość.

1 maja.

Pogoda przecudna trwa dalej. Dziś jeden więzień przyniósł z sali sądowej wiadomość, że Hindenburg gotuje jakieś stanowcze i rozstrzygające poruszenie, które jeszcze w tym miesiącu zobaczymy, a które zakończy wojnę. Możliwe kroki będą zastanowione w drugiej połowie maja, a szczegółowe zawieszenie broni lub może i pokój będzie zawarty w czerwcu lub lipcu. Vederemo.

—

Może mam bzika pruskiego - ale ciągle mi się zdaje, że Austrya będzie wykiwana przez Prusy, a z Austryą i ~~za~~ sprawa polska. Jest w Niemczech ogromne lekceważenie dla Austryi – niemieccy oficerowie prywatnie natrząsają się nawet z armii, która dała tyle dowodów męstwa i sprawności. To pruskie lekceważenie podzielają Niemcy austryaccy i Madziarzy, obie narodowości, kierujące w obu państwach. Ci z pewnością pójdą na takie zbliżenie do Niemiec, że będzie to równoznaczne z zależnością. Jeśli Niemcy zniewoliły Austryę do wyrzeczenia się morza na rzecz Włoch, to handel austryacki, który i tak robił interesa w świecie, o ile się Niemcom opłacił, dostanie się wprost do rąk niemieckich. Czyli Austrya popadnie w zupełną zależność handlową od Niemiec. Przy podziale Królestwa Prusy zabierają wszystkie osady przemysłowe, zostawiając Austryi rolnicze. W tym celu uczyniono garbdwy w prostej linii nowej granicy idącej biegiem Warty, aby nietylko Częstochowę, ale cały okrąg na jakich 15 kilometrów w koło wyrwać od wschodniego sąsiada: okrąg ten jest bowiem przemysłowy. Na takie wykrawywanie nie chciała iść Austrya - musiała rozmaitych używać kruczków i wybiegów, skoro nagle dowiedzieliśmy się, że w Częstochowie utworzono z Jasnej Góry enklawę austryacką i przyznano jej całkowitą eksterytoryalność. Ponieważ te fabryki mają rynki zbytu po rzecie Królestwa, więc przez nie Niemcy opanują przemysłowo austryacką część Królestwa oraz Galicyę. Jest to więc zamiar przemysłowego opanowania Austryi i Węgier. Do tych dwu środków to jest do handlu i przemysłu dodana sprawność organizacyjna, pieniężna i narodowa Niemców uczyni stanowczo z Austro Węgier kolonię niemiecką.

A o Polsce lepiej nie wspominać: Kalisz, Kłobucko, Łódź, Suwałki i zakaz używania polszczyzny nawet ~~na poczcie~~ w listach, świadczą najlepiej czego się

spodziewać od zwycięzców, którzy bez zwycięstwa byli najnieznośniejszymi pyszałkami na świecie. Gdyby Austrya wychodziła z wojny z powagą zwycięstwa i rozwoju, możeby jakie dobre słowo za nami powiedziała. Ale Austrya, jako Bundesstaat ma siedzieć cicho.

Nie wiem, jak wypadnie pokój. Najwięcej podobałoby mi się, gdyby rokowania tak się przeciągały i tak nie doprowadzały do wyrównania różnic, żeby z wiosną 1916 znowu chwycono za broń, zostawiając kierownictwo wojny wypoczętym neutralnym. Możeby wtedy jaką Polskę zrobiono.

Tymczasem jestem pewny, że jeżeli Anglia zostanie zmuszona do zawarcia pokoju w warunkach mniej korzystnych, to Prusy zawrą z nią przymierze, ażeby wspólnie zapanować nad światem, zanim staną się dość silnemi, aby w końcu i nad spólnikiem zapanować.

Prusy w Belgii przywrócą prawa językowi flamandzkiemu, może z walońszczyzny język zrobią i popierając te języki będą skutecznie wojować z francuszczyzną – ale w polskich stronach nie będą cierpieć polszczyzny – raczej rosyjszczyznę, bo oni chcą Poznań, Gdańsk, Królewiec, Wrocław okolić taką przestrzenią czysto niemieckiej ziemi, żeby nawet przy rozbiciu Niemiec czy Prus daremne były zabiegi ~~od~~ o wykorzenienie z nich niemczyzny. Straciliśmy Odrę, a teraz tracimy w zupełności Wartę i czwartą część Wisły. A na wschodzie nie umieliśmy przy polszczyźnie utrzymać Suwałk, Drohiczyna, Chełmu, Przemyśla i Lwowa. Z naszej winy – ale tam Polacy są w mniejszości.

3.V.

Rocznica wiekopomnej konstytucyi. A jednak, gdy się przypomina i zestawia, to wreszcie i ten tytuł do chwały traci wiele ze swego powabu. Wszak to nie pierwsza ustawa postępowa i ludzka. Od czasu do czasu sejmy uchwalały mnóstwo ustaw, tak pięknych, nowożytnych, postępowych, bo wolnych od uprzedzeń klasowych, że olbrzymia doniosłość, czasem przewrotowość tych uchwał idzie tylko w parze z łatwością, ba z lekkością jakiej do powzięcia tej uchwały użyto. I nic z tego wszystkiego. Nową ustawę czyli Konstytucyę wpisano do Volumina legum i na tem się skończyło. Leżała sobie spokojnie, nieodczytywana przez nikogo, niepotrzebna i zapomniana, bo życie wytworzyło sobie odmienne, ale na stałe wydrążone łożysko i płynęło własnym biegiem, nie troszcząc się o paragrafy, przez nauczyciela czy Kaczyperdę podyktowane.

Ilekroć o ustawie 3 maja pomyślę, przypomina mi się uchwała związku tyszowieckiego, tak haniebnie kopnięta przez tych, którzy ją stylizowali, a potem zaprzysięgali. Więc za wielkie szczęście uważam, że Konstytucyę majową znieśli Moskale i Prusacy – boję się bowiem, że gdyby sąsiedzi o nią się nie zatroszczyli, czyby Polacy sami kiedyś jej nie zdradzili – bodaj przy pomocy rokoszu. Tak sceptycznym staje się człowiek, że w końcu wszystko podejrzywa. A to byłoby już najpotężniejszem świadectwem niezdatności do życia, wydanem samemu sobie przez naród, po rozwadze, zastanowieniu się, po próbnem zastosowaniu środków naprawy.... Gdyby Konstytucya majowa spoczęła w Volumina legum, w sąsiedztwie innych, równie pięknych i równie zniesionych lub wcale niewykonywanych ustaw, to byłoby najsmutniejszem stwierdzeniem, że Polska już nie jest sanabilis, że ginie, bo zginąć musi, bo zginąć chce.

Przez uwzięcie się wrogów celem jej obalenia, zyskała sobie ta Konstytucya uczucia całego narodu. Nie jest świętą przez swoją treść, lecz przez to, że ją wróg skaził, jak niegdyś Turek M. Boską Częstochowską szablą pociął. Przez to więc świętokradztwo wrosła w pamięć i w serce narodu, ale nie przez swoją wewnętrzną, istotną wartość odradzającą. Nie wiem czy 10% Polaków, wielbiących konstytucyę majową, potrafiliby w przybliżeniu streścić jej główne postanowienia i oznaczyć ich wartość przez zestawienie z dotychczasowymi brakami – a z pewnością nie ma i 2% Polaków, którzyby ją naprawdę znali i co najważniejsza umieli bez uprzedzeń w miłości i w niechęci osądzić. Czyli 90% Polaków, a więc cały naród wielbi, krzyczy, obchodzi pamiątki, wiwatuje na cześć rzeczy, o której nie ma pojęcia.

Że treść tej ustawy nie była i dziś nie jest Polakom tak święta, jakby z krzyków uroczystościowych i parad rocznicowych można było fałszywie wnosić, najlepszy dowód w tem, że zaledwie Moskale i Prusacy wkroczyli do kraju, a już o niej zapomniano. Polacy powinni byli czuć się związanymi przez ostatnią wolną uchwałę wolnego sejmu – ale tego nie robili. Jest w Konstytucyi ustęp o chłopach, który dla nikogo z okolic objętych zaborem nie był miarodajnym – nikt ani myśl tej uchwały nie myślał o podniesieniu, o kształceniu chłopa, o tworzeniu z niego przyszłych i najliczniejszych obywateli i synów ojczyzny. Uchwalona poprzednio ustawa o miastach została przez Konstytucyę uznana za składową część ustaw organizujących rząd i państwo, a więc za tak zwaną zasadniczą. Ale zaraz po rozbiorze zapomniano o tem.

Jeśli w Wielkopolsce szlachcic stracił sądownictwo nad chłopem, to nie jest zasługa przywiązania jego do Konstytucyi, ani wiara w jej moc odradzającą, która nakłoniła

go do posłuszeństwa wobec prawa, nie mającego władzy wykonawczej i prawnicio obowiązującej, lecz za to swojego własnego, narodowego, będącego jakoby testamentem konającej Rzeczypospolitej, a więc dla Polaków obowiązującego moralnie. Tak nie było. Sądownictwo nad chłopem odebrał szlachcicowi rząd zaborczy – chociaż szlachta mogła była zrzec się tego sądownictwa na rzecz urzędów, mianowanych przez Sejm stanowy.

Kto wie, czy nie jeden z tych panów nie cieszył się z interwencji rosyjskiej i pruskiej dla wywrócenia dzieła, które nakładało na nich ciężary, a dostęp do umniejszonych prerogatyw szlacheckich otwierało dla mieszczan i zapowiadało takie samo otwarcie dostępu kiedyś i dla chłopów.

W tych okolicach, które należały do okrojonej Polski w chwili uchwalania tej Konstytucji, nie widać jej śladów w położeniu mieszczan i w stosunkach szlachty i mieszczaństwa. W prowincjach przez pierwszy rozbiór odłączonych nikt nie myślał o tej Konstytucji chyba ze strachem.

A zatem ani przywiązanie współczesnych do urządzeń, praw i zasad konstytucją uświęconych, ani też znajomość tej ustawy i jej znaczenia w porównaniu do epoki, u dzisiejszych, nie dają jej prawa do nieśmiertelnej pamięci. Ówczesne pokolenie jej nie kochało, następne nie znają i cenić wedle wartości nie mogą. Ci nieliczni, którzy ją znają, nie umieli zdobyć się na sprawiedliwą ocenę. Więc zestawiają z rewolucją francuską i uznają Konstytucję za zbyt wsteczną; drudzy nie widzą w niej haseł sympatycznych, a inni nie umieją mieć własnego zdania i tylko wynajdują sprzeczności faktów, ironię losu np. w tem, że kiedy cały świat zmierzał do ograniczenia władzy monarszej, to ustawa majowa wzmacniała i powiększała władzę królewską.

Mnie się ta ustawa przedstawia jako jedno z największych i najmędrszych dzieł narodu – a skoro jest testamentem, jako testament ludzi większych niż ich ostatnie dwa stulecia dziejów wydały. Jest rozumna w tem co doktrynerzy ganią, praktyczna w tem, co zestawiacze antytez notują. W miarę liberalna, aby postęp umożliwić i poprzeć, nie zrywa z przeszłością, aby niepotrzebnego oporu nie wywoływać w kraju. Liczy się z kilkoma potrzebami równocześnie: przesądy narodu, potrzeba rozwoju, religijność bigocka i libertynizm – wszystko uwzględnione, bo to było dzieło życia, obmyślone dla tego jednego narodu i państwa, w owych właśnie warunkach historycznych i politycznych. To nie jest jakiś system mędrca, dla którego zastosowania trzeba by wszystkich ludzi wygubić a nowe pokolenia od dziecka przez wychowanie przysposobić – to było dzieło jedyne możliwe wówczas, a jego celem

dać narodowi w tej chwili, do roku, do dwóch, i rząd i wojsko i odporność wobec koalicyi wrogów przepotężnych.

I dlatego właśnie, że jest rozumne, że do ludzi i czasu przystosowane, że na osiągnięcie zamierzonych celów najlepiej obmyślone i praktyczne, nie daje młodym St Justom sposobności do głupich frazesów o revolucyi jako celu samym dla siebie, o cnotach republikańskich itd. A gdy lekko i pięknie deklamować się nie da, gdy nie zawiera zdań, któreby były dobre do albumów panieńskich na maj – obchodzą się nasi patryoci-samobójcy w ten sposób, że ustawy nie znają, cenić nie mogą, a podnoszą tylko fakt, iż Moskale i Prusacy ustawę udaremnili.

Wmieszanie się zdradzieckich sąsiadów wystarcza, aby zapewnić, że ta Konstytucya byłaby z pewnością do kilku lat odrodziła Polskę, a może rozszerzyła na Zadnieprze i Zaodrze. Nieznajomość dziejów ojczystych, nie głębokie i rozważne ocenienie wewnętrznej wartości Konstytucyi, lecz wystąpienie wrogów wystarcza tym niemyślącym patryotom na dowód, że to było wielkie dzieło. Tymczasem wrogowie mieli plan podziału Polski i chwytali się każdego pretekstu celem wkroczenia – co za świętobliwe czasy, kiedy jeszcze do każdej awantury szukano pozoru, niejako uprawnienia – a że veto i elekcya już od ugody tarnogrodzkiej były oddane pod opiekę najjaśniejszej Imperatorowej-Gwarantki, więc Konstytucya, znosząca te obyczaje, dostarczyła pretekstu. Ale wielbiciele Konstytucyi na wiarę i kredyt Moskali i Prusaków mogą być pewni, że gdyby i Konstytucyi nie było wcale, to najjaśniejsi gwaranci byliby się chwycili każdego innego pozoru, choćby cielęcia, które się zachwiało o sąsiedzki słup graniczny, okazując polską wzgardę urzędnikom gwarantów i byliby do rozbioru doprowadzili. Treść Konstytucyi zapewne przyspieszyła to wkroczenie nieprzyjaciół. Bo ci nieprzyjaciele widzieli, że gdyby ta ustawa weszła w życie, mieliby później wielką trudność w dzieleniu ziem polskich, a może musieliby nawet powściągnąć swoje łakomstwo.

Za mało to jeszcze kochanie, gdy się miłość stopniuje wedle nienawiści wrogów. To nie jest prawdziwe przywiązanie do tej ustawy. Ale też i to trzeba sobie powiedzieć, że gdyby wrogowie nie wzięli Konstytucyi za pretekst, toby o niej może Polacy zapomnieli. Nie jest wykluczony zwykły pogrzeb najpiękniejszych polskich ustaw, to jest zapisanie w Volumina legum i zapomnienie, ale też nie jest wykluczone i zniesienie tej ustawy czy to za pomocą uchwały sejmowej, czy przez rokosz. Targowickie przedsięwzięcie jest tylko zwyczajnym rokoszem na obalenie ustawy. Mówią, że zaledwie kilku litewsko ruskich magnatów zrobiło tę Konfederacyę – ależ za każdym z tych magnatów stały tysiące i dzie-

ciątki tysięcy szlachty „braci, równych", który służyli za dobre słowo, kieliszek i powietrzne zamkowe. I gdyby te równe kreski policzyć, pytanie wielkie, czy większość nie była po stronie Targowicy. Wszak Konstytucyę uchwalono przez zamach stanu, czyli ~~zna~~ nawet sejmie, gdzie posłów połowa przez trzy lata już odbywała nauki patryotyczne i ~~czysto~~ polityczne, nie miało się pewności, czy ustawa przejdzie i rzecz postawioną na porządek dzienny 5 maja drogą intrygi przeniesiono na 3. maja, ażeby ludzi zaskoczyć.

Moskale mogli troskę o obalenie tej konstytucyi zostawić Polakom samym. Wszak Katarzyna czekała aż jej Targowiczanie przypomnieli jej obowiązek „gwarantki" i dopiero się wmieszała.

Zatem zbierając wszystko, do takiego doszedłbym wniosku: Ustawa jest mądra, rozumna, wielka, odpowiada celowi, dobre środki obiera, do czasu się stosuje. Czy byłaby odrodziła Polskę nie wiadomo, bo sami Polacy mogli o niej zapomnieć, albo też obalić ją przez rokosz lub nową uchwałę sejmową. Jej upadek jest przyczyną, że ją naród czci, a nie jej wartość. Nikt jej nie zna, mało kto ma dość znajomości dziejów, ażeby jej wartość dla owych czasów ocenić – wielbią ją przez płytkość, bezmyślność i kłótliwość polską, bo wierzą, że ją obalili Moskale i Prusacy. Tymczasem Polacy jej nie chcieli – mniejszość przez zamach stanu narzuciła ją większości – najzacniejsi z tej większości wezwali imperatorowej gwarantki na pomoc przeciw rodakom, jakobińską drogą odkupienie przynoszącym – a gdy zabór obcy zniósł tę Konstytucyę, ani jeden Polak nie czuł się związanym jej postanowieniami, nie uważał jej za testament, który z pietyzmem, wedle możności należy wypełnić, żaden nie myślał zastosować postanowień o chłopach, mieszczanach, religii, rewizyi co ćwierć wieku itd. bodaj w swoim szczuplejszym zakresie. Była to ustawa, której ludzie poddają się z obawy przed żandarmem, ale nie artykuł wiary, jak dzisiejsi mówcy uroczystościowi chcą ogłaszać. ~~Jest~~ Można ją czcić przez poznanie i ocenienie, ale u nas zakorzeniła się i tutaj cześć przez głupotę i bezmyślność, bo się wrogom przypisuje wyłącznie jej upadek i potem wyładowuje się na tych wrogach swą nienawiść słowną. U nas wszystko sprowadza się do najjałowszego frazesu i głupoty – gdybyśmy mieli własnych proroków, głoszących najprawdziwsze objawienia, nie czytalibyśmy tych objawień, ale pysznilibyśmy się prorokami, a najwięcej czcili to proroctwo, przy którem mąż boży kichnął, mając katar.

—

do to filozofowie i poeci nie nawymyślali cudów o człowieku. A to tymczasem jest wytwór natury, od niej zupełnie zależny. Ponieważ jest wiosna i czas prześliczny, ponieważ z mojego trzeciego piętra jest śliczny widok, ponieważ budzę się przed wschodem słońca i te piękne widoki podziwiam w przeróżnych farach mgieł, oparów i oświetlenia – jest mi po prostu bardzo dobrze na świecie. Naród nasz ginie, albo popada przynajmniej w taką nędzę i zacofanie, że pół wieku będzie trzeba, ażeby trochę przyszedł do siebie – nie wiem co się dzieje z matką i siostrą – a jestem wesoły. Przyzwyczaiłem się do wojny i więzienia, a poza tem trochę wraca mi zdrowie. Nie palę od 28.IV. a choć czasami wprost obłąkanie mnie chwyta i takie pragnienie tytoniu, że całem ciałem widzę jak zwijanym w trąbkę listkiem, niemniej piersi są swobodniejsze. A że robię gimnastykę wedle metody P. Müllera, więc i 41 letnie ciało jest rzeświejszem. Zdrowie jest wszystkiem. Gdyby Goethe był miał chroniczny katar żołądka, byłby został hipochondrykiem i ani połowy tych cudów nie napisał, jakie go czynią słonecznym Apollinem i mędrcem. Szekspir z migreną i wadą serca zginąłby był nieznanym, a gdyby Mickiewicza w trakcie pisania Improwizacyi Konrada była chwyciła cholerynа, nie mielibyśmy tego dziwu, przed którym ludzie stają z otwartemi gębami i nie wiedzą, co o tem myśleć. Suchoty nie przeszkadzają twórczości artystycznej, ale Schillera z czerwonką radbym szukać w dziełach.

Zależymy więc od siły ciała, od strawności i od słońca.

Tu mi się przypomina jeszcze wieszczostwo i boski płomyk naszych artystów, a obcych. Goethe stworzył Makarię, która ludźmi rządzi, podnosi ich, kształci i wyprowadza na pożytecznych i wyższych członków społeczeństwa. Ale stworzywszy postać tak olbrzymią, tak wszechwiedzącą i nadnaturalną, nie pozwala jej uważać się za specyalnego bękarta od bóstwa; jej wyobrażenie o sobie jest naturalne, a przynajmniej z natury wzięte. Będąc słońcem, rządzącem i kierującem [illegible] ludzkich istot, wyobraża sobie, że jest cząstką zodyaku, jakiemś ciałem, czy gwiazdą. U nas inaczej. Poeci poufalą się z Panem Bogiem. Krasińskiemu Bóg objawia swoje zamiary i obrachunki, Słowackiemu

dyktuje poezye – a im potem który wiersz mniejszy, tem więcej chce aby w nim widziano syna bożego, a Chrystusowego brata.

Najlepszy jest Szekspir, bo jego ludzie z ziemi się wychodzą, aby własne majaki, chorobliwe wyobrażenia zarozumiałości podsuwać Bogu czy choćby gwiazdom, jak kukułka swoje jaja pliszkom, lecz ludźmi zostają, a marzenia ich są fantazyami na temat szczytów osiągalnych dla człowieka. My zaś zwalając i wmawiając wszystko Bogu, jesteśmy na ziemi niezdatni nawet do roboty codziennej. Nie ma łatwiejszego marzenia nad fantazye o cudach i jałowszego próżniactwa nad wymyślanie nowej teozofii, religii, objawienia.

4. V.

Wczoraj przysłano żołnierzom rozkaz dzienny od głównej Komendy armii, donoszący, że cesarz rozwiązał 28 pułk piechoty, rekrutujący się z Pragi, a chorągiew pułkową kazał złożyć w Muzeum wojennem w Wiedniu.

Mówiono po cichu, że Czechy są podminowane, że Czesi wszyscy sprzyjają Moskalom, że pułki się buntują, że utworzono całe drużyny czeskich legionistów, którzy walczą po stronie rosyjskiej, że połowa intelligencyi w kozie za zdradzieckie zamysły, słowa i czyny, że w sądzie garnizonowym w Pradze strzela się tych zdrajców stanu tuzinami itd.

Że Czechy, to jest sama ludność czeska Królestwa czeskiego bez Morawy była najmniej lojalna – z wyjątkiem chyba ludności ruskiej – to zdaje się pewnem. Ale od braku zapału, od krytycyzmu i obawy o własną przyszłość, do zdrady stanu jest wedle prawodawstwa droga dość długa. Prawda, że z początku szafowano śmiercią bardzo hojnie – zdrada na froncie była karana tak jak pierwsze lepsze wykrzyknienie pijaka w szynkowni za górami: obie śmiercią. Jeżeli tak w Czechach postępowano, to z pewnością nastrzelano ludzi jak zajęcy na polowaniu dworskiem – tylko nie ludzie temu winni, lecz niewystarczające ustawy wojenne, które na nieopatrzne słowa nakładając karę śmierci już nie mogą nic większego przepisać dla zbrodni wielkich. Gdy za byle słówko zadaje się śmierć, to za istotną zdradę, szpiegostwo itd powinno się chyba przywrócić średniowieczne męki, łamanie kołem, palenie w metalowym brzuchu, darcie pasów, nawłóczenie na pal itd.

A może byłoby lepiej na wielkie tylko zbrodnie dawać śmierć, a za nieostrożną gębę, rozpuszczoną ponad zamiar przez zbyt długie trwanie Konstytucyi,

karać kozą i grzywnami?

Jeżeli więc i postrzelano wielu ludzi w Czechach, to nie świadczy ten fakt o zakorzenieniu się zdrady stanu, lecz o pewnej pewności siebie między ludźmi, którzy mimo zaprowadzenia stanu wojennego i zawieszenia Konstytucyi mówili śmiało, co myśleli, ze zdaniem nie kryli się, ze zdaniem, które w czasach konstytucyjnych nawet przez denuncyantów niemieckich nie śmiało być interpretowane jako usposobienie zdradzieckie.

A może ci Czesi narazili się na śmierć przez zbytnią miłość do Austryi – to jest przez wiarę, że poczucie prawa bywa szanowane nawet w wyjątkowych ustawach i w wojennym czasie? A taką wiarę i ufność napoić może tylko miłość.

Ja więc w zdrady czeskie nie wierzyłem. Czesi obok Niemców są współtwórcami monarchii, są owymi najstarszymi Erbvölker i Erbländer. I za to, że są równowartościowym z Niemcami filarem tej monarchii, cieszą się równemi prawami. Ministrów miewają dwóch resorowych, w ministerstwach urzędników tak wielu, że niektórzy śmieją się, iż Austrya jest przez Czechów rządzona. Nie mają jednej rzeczy, to jest panowania języka czeskiego w Królestwie i na Morawie. Panującym urzędowym jest język niemiecki, a czeski dopuszczony jako równouprawniony. Pod tym względem Czechy gorzej są traktowane od Galicyi – ale pod wszystkimi innymi są wobec Galicyi uprzywilejowane, pieszczone, psute. A ponieważ w Austryi osiąga się wszystkie prawa, gdy się bez znużenia o nie walczy, więc i Czesi nie powinni byli wątpić o wywalczeniu praw dla swojego języka.

Mimo, że czeszczyzna nie jest językiem ~~pa~~ urzędowym, ale siłą faktu jako równouprawniony panuje – i gdyby Polacy w Rosyi lub w Prusiech mieli dla swojego języka te prawa, jakie tu ma czeski, byliby chyba mocno zadowoleni.

Gdy przytem wszyscy Czesi żyją w Austryi tylko, gdy nie są podzieleni i żadnych narodowych połączeń się nie pragną – nie widzę przyczyny, dla której mieliby wobec Austryi być tak wrogo usposobionymi, żeby aż o zdradzie zamyślali.

Oni nienawidzą Niemców i mają zupełną słuszność, bo Niemcy tę nienawiść żywią do nich w stopniu dziesięćkroć większym i dodają jeszcze pogardę. Zaczem, gdy Niemcy się entuzyazmują, Czesi mają słuszność rozważając, czy dany wypadek służy interesom monarchii, czy też tylko interesom niemczyzny

ze szkodą dla słowiańszczyzny, której najdalej na zachód jeszcze trzymającą się czatą, są właśnie Czesi.

Obawa o swoją przyszłość narodową, poczucie swojej słabości liczebnej, strach i nienawiść do Niemców, zrobiły z Czechów słowianofilów osobliwego pokroju. Czech, będąc najzacieklejszym patryotą, uważa słowiańskość za rozszerzenie tylko tego patryotyzmu i zupełnie poważnie twierdzi, że gdzie pewna narodowość słowiańska utrzymać się lub rozwinąć nie może, tam powinna wynarodowić się na korzyść innej słowiańskiej narodowości, byleby te okolice dla słowiańszczyzny uratować. Z zupełnie dobrą wiarą pocieszają nas, gdy im wyrzucamy czechizowanie Polaków na Śląsku, że właściwie nie mamy za co się gniewać, boć zczechizowani Polacy zostaną słowianami dalej, a grunt w tem, żeby Niemcy Śląska nie połknęli. I nie trzeba myśleć, że w tej odpowiedzi jest wybieg, maskujący zakłopotanie i wstyd – bo Czesi swoich kolonistów w Rosyi chętnie poświęcają prawosławiu i ruszczyźnie, bo ich koloniści w Dalmacyi, Kroacyi itd szybko zostają patryotami południowo słowiańskimi, wnosząc w swoje nowe otoczenie tylko więcej planu i wytrwałości w walce z Niemcami, więcej zrozumienia dla niemieckiego niebezpieczeństwa. Czesi, którzy się wynaradawiają, czynią to tylko między narodami słowiańskimi, nienawidzącymi Niemców, lub mającymi wielką siłę odporną wobec nich. Dlatego nie chcą nawet po kilku pokoleniach osiedzenia się w Galicyi, zostawać Polakami.

Ze swego punktu widzenia mają słuszność. Dla nas jest obojętne, czem będziemy, gdy przestaniemy być Polakami – obojętne, czy zje nas Moskal czy Niemiec – bo my zjedzonymi być nie chcemy i Polakami chcemy wciąż pozostać.

Być więc może, że to usposobienie Czechów w połączeniu z wypadkami wojennymi, zepchnęło ich dalej niżby iść powinni, niżby im nawet ich interes narodowy nakazywał. Rozwiązanie pułku i publiczne ogłoszenie w rozkazie armii jest dowodem, że się nie ma zamiaru pokrywać i przemilczać wrzenia czeskiego i jest stwierdzeniem, że to wrzenie istnieje. Zdaje mi się, że to wypadek poważniejszy niż wielu myśli. Gdy się Czechów ogłosi za zdrajców monarchii, tedy hegemonia niemiecka w tej połowie będzie wymaganiem

racyi stanu, germanizowanie obowiązkiem patryotycznym, a opór wobec germanizacyi zdradą główną. Czesi nie powinni dać się unieść temperamentowi, bo sobie i nam wszystkim Niemcom w tem państwie smutną przyszłość gotują. A mimo wszystko jestem pewien, że zbrodnie Czechów wyniknęły z temperamentu a nie z rzeczywistego, trwałego, rozważonego przekonania i uczucia.

Trzeba przyznać, że w pierwszych miesiącach po zniesieniu konstytucyi, zapanowały tutaj stosunki, o jakich w Rosyi nawet nie słyszano. Zdaje się, że wszystkie złe duchy Metternicha wstały z grobu i dokazywały cudów. Zaczęto obojętnym słowom, zdaniom niewykończonym podsuwać intencye, zakryte cele – zaczęto czytać między wierszami, uzupełniać rzeczy uznane za niedopowiedziane – jednem słowem zapanował system szpiegowski, ale wyższy, sprawniejszy niż wszystkie systemy znane – system skombinowany z Ochrany i z Świętej Inkwizycyi. Obawiano się zdrady, wietrzono zdradę, dopatrywano, domyślano się jej wszędzie i z przezorności gnojono ludzi po więzieniach. Denuncyatorstwo tak się rozpowszechniło, że chyba za Dyrektoryatu coś podobnego było w Paryżu. Wystarczy, że c.k. policya w Morawskiej Ostrawie musiała łagodzić i zapowiadać, że tylko pewnym delacyom da wiarę, a większość z nich bez czytania wrzuci do kosza. Kto bał się dostać do więzienia, denuncyował sąsiada w nadziei, że ten krok da mu zaufanie władz i na stałe zaasekuruje go przed kozą. Ale zdarzały się i takie wypadki, że do siedzącej ofiary przyprowadzano i denuncyanta również na siedzenie.

Gdyby nie głuche przeczucie i obawa u góry, że zdrada przybierze w Austryi potworne rozmiary, możeby w organach wykonawczych nie zapanowała taka tępa, ślepa bezmyślna wiara, że wszyscy są zdrajcami i że należy do kozy zamykać każdego, na kogo bodaj ktoś pół słówko piśnie. Doszło do tego, że obywatelom odbierał wolność i do kozy ich zamykał nie przełożony, sędzia, oficer, ale żandarm i każdy cywil, który miał do rozporządzenia ćwiartkę papieru, aby na niej napisać denuncyacyę.

I ta obawa przed zdradą, to ściganie i podejrzywanie zdrady wszędzie, kto wie, czy właśnie dopiero rzeczywistej zdrady w Czechach nie zrodziło. Nie znam wypadków, ani dzisiejszych nastrojów, ale znam ludzi, jakimi byli przed

wojnę i zdaje mi się, że stawiam teraz najtrafniejszą dyagnozę. Pewnego rodzaju nieczyste sumienie kazało hofratom przewidywać masową zdradę, a strach przed zdradą i nierozsądne, a gwałtowne środki celem ubezpieczenia państwa przed tą zdradą właśnie wywołały zdradę.

5. V.

Przybity wiadomości o wielkiem zwycięstwie nad Dunajcem, odniesionem niestety przez niemieckiego jenerała. Austryacki sztab przygotował i opracował wszystko, a sławę zyskują Prusacy. Smutne to - ale może przecież odzyskamy Galicyę i ze Lwowem. Zdaje mi się jednak, że to zwycięstwo raczej zapowiada przedłużenie wojny niż przyspieszenie jej końca. Dwuprzymierzu zależy na szybkiem załatwieniu wojny, więc trójporozumieniu, jeżeli nie zechce przyznać się do zupełnej klęski, nie zostaje nic innego nad przeciąganie wojny. Tak źle, a tak niedobrze. Czasby już był zakończyć wojnę, bo inaczej Polska zostanie bezludną pustynią, w której na początek mieszkać będą żydzi, którzy w umiejętny sposób uratowali się po innych prowincyach austryackich.

—

Gdy rozpatruję motywy rozmaitych poczynań polskich w XIX wieku, widzę jedną dominantę, która kieruje wszystkimi nierozważonymi krokami i da się nawet pod najgrubszą zasłoną odkryć u wszystkich i wszędzie. Nazywając rzecz drastycznie po imieniu, jest nią niewiara we własny naród. Jest u nas olbrzymia większość bez poczucia narodowego, bez świadomości, nawet bez wiedzy, że są Polakami. Jest to nasz lud włościański, robotniczy, i małomieszczański może w większości. Ale przyczyną tego nieuświadomienia nie jest ani zaprzaństwo, ani ślepy na idealne obowiązki materyalizm - tylko brak najpierwotniejszej oświaty. Lekarstwem na ten brak nie jest ani krew, ani demonstracye, ani polityczna agitacya z nieodstępną zaciekłością partyjną, lecz tylko i wyłącznie gruntowna oświata narodowa. Sztuka czytania jest pierwszym stopniem uświadomienia. Kto umie czytać i przegrzebał się przez trylogię Sienkiewicza, już jest wcale dobrym, prawie uświadomionym Polakiem. I dlatego nie żadnych wielkich sztuk, dyplomatycznych pociągnięć, rozlewu krwi, ani parad kościelnych nam potrzeba - lecz porządnej szkoły ludowej i dobrych wypożyczalni książek dla ludu, a resztę lud sam bez zwaryowanych przywódców zrobi lepiej niż wszyscy nieuczesani literaci prostytucyi z Krakowa.

Fakt, że ten lud żyje, że ma religię i język, że siedzi kupą na ziemi ojców już sam sprawia, że Polska biernie, niezmiennie istnieje. Lud ten mocujący się z przyrodą, a gęsty, ma w sobie poczucie siły, które jest najlepszym środkiem

do zachowania jego odrębności. Lud kocha przeszłość, lubi opowiadać to co widział, co się zdarzyło w okolicach mu znanych i między znajomymi ludźmi, a gdy wątku zabraknie, lubi opowiadać bajki, które są dla niego niczem więcej jak wspomnieniem dawnej przeszłości. I w prawdziwość tych bajek wierzy.

Dać mu do tego podkład – to jest dobrą historyę, a raczej opowiadania historyczne. Z powieści lud przepada tylko za historycznemi. Szkice historyczne, opowiadania barwnych, ale rzeczywistych wypadków, pisane sposobem średniowiecznych nowel, byłyby lekturą umiłowaną, a równocześnie uświadamiającą. Kto pamięta wielkie wzburzenie w Zbarażu o „grób świętego Podbipięty", dary i ofiary pieniężne, składane przez lud na wykupienie tego grobu, ten wie, jak lud umie czytać i jak się do wspomnień z przeszłości umie przywiązać. Wtedy każdy kamień, każdy kościół, każde stare drzewo, z którem wiąże się wspomnienie dziejowe, stanie się przedmiotem umiłowania i czci prawie religijnej. A wtedy obawy o to, aby lud ten się nie wynarodowił, nie będzie. Trzeba tylko to ludowi uprzystępnić.

Mam przekonanie, że lud wynarodowić się nie da, a przynajmniej nie prędko.

Ale młodzież z frazesem na ustach, uważa, iż kto frazesu patryotycznego nie powtarza aż do zupełnego wywietrzenia zeń wszelkiej treści, ten nie jest pewny, ten wkrótce zostanie zaprzańcem.

A młodzież ta przedewszystkiem sama nie wierzyła w niepożyte siły swojego narodu. Przez trzy pierwsze ćwierci wieku XIX była to przeważnie młodzież szlachecka, szlachta zaś z charakteru swego, z założenia swego nigdy nie dawała pewności narodowej. Szlachta jest tworem ~~kró~~ monarchów, stąd jej dawny tytuł comes i miles. Z łaski panującego powstała, na jego łasce opierała się. Stąd wieczysta dążność wszelakiej szlachty do służby dworskiej. Zawsze też szlachta przyjmowała język i religię swojego monarchy, czyli dostarczała zaprzańców religijnych i narodowych. Tak polska szlachta na Śląsku za przykładem swoich książąt zniemczyła się – a gdy panowali tam i katoliccy królowie czescy i potem protestanccy pruscy, to i ona przedstawia mieszaninę religijną wśród narodowości jednolitej niemieckiej. Kiedy wielcy książęta litewscy przyjęli język białoruski, szlachta litewska przeszła na Rusinów, a z Jagiełłą i jego potomkami przeszła na katolików i Polaków. Ruska szlachta spolszczyła się i skatoliczyła, bo królowali tam Polacy i katolicy. Niemiecka, protestancka szlachta Prus Królewskich, Kurlandyi i Inflant bardzo rychło przyjmowała katolicyzm i polskość. Dziś mnóstwo polskiej szlachty zniemczyło się w Wielkopolsce, a zrusyfikowało na Litwie i Rusi – bo dwór monarszy, a nie naród jest dla szlachty miarodajnym.

Otóż szlachecka młodzież XIX wieku nie wierzyła w żywotność narodową na dłuższą

mętę, bo sądziła naród po szlachecku, bo swoje szlacheckie instynkty ubierała w myśli i z nich czerpała wywody i wnioski. Gdy później wmieszała się młodzież nieszlachecka do kramu, to i ta miała tylko szlachecką kulturę, gdyż innej w Polsce nie było.

Do tej niewiary w siły własnego narodu przyczyniało się i to prawdziwie polskie usposobienie, że każdy Polak uważa siebie za postać wyjątkową, a swoje uczucia i myśli za tak nadzwyczajne, że wprost przypuścić nie może, aby ktoś mógł mieć takie same myśli i uczucia. To też każdy sądził, że on sam jeden jest tylko dobrym Polakiem, albo też przyznawał tę cechę tylko nielicznym jednostkom, z któremi razem w sposób spiskowy starał się owładnąć tłumem i budzić w nim ducha.

A budzić ducha to znaczyło krzyczeć i robić ruchawki. Krzyk wydawał się im potrzebnym, bo wierzyli, że cały naród myśli już godzić się z losem i wstępuje na drogę zaprzaństwa – więc go trzeba z niej odstraszyć i a ruchawki i rozlew krwi miał być dowodem, że duch jeszcze jest, krew zaś przez swoje wołanie o pomstę miała na szereg lat zrywać mosty, którymi chodzi się do renegactwa. A ponieważ taka pamięć o przelanej krwi zazwyczaj ginie z pokoleniem, więc prawie co 30 lat chciano krew nową przelać, ażeby nowym pokoleniom zagrodzić drogę do odszczepieństwa. We wszystkich pismach, hasłach, przedsięwzięciach widać ten strach nielicznej ale głośnej garści jakobińskiej, bo przypisującej sobie monopol na reprezentowanie ducha narodowego, strach, że lada chwilę naród przejdzie na Niemców i Moskali – a nawet gorzej, bo tylko zmoskwiczenia bali się, godząc się widocznie milczkiem na zgermanizowanie – a przecież taki strach jest niczem więcej jak przyznaniem się do niewiary w żywotność narodu, to najgorsze zwątpienie, to obelga duchowi narodowemu wyrządzona, to krzywda i niesprawiedliwość, a równocześnie to głupota, która mówi o narodzie, chce nim rządzić, a nie zna go, nie zna jego siły i wytrzymałości. To także pewna strona smarkaterji.

I ci niedowiarkowie narodowi wywoływali ruchawki dla robienia eksperymentów i budzenia ducha. I dziś budzi się ducha krzykiem, szopami, pochodami, napuszonymi bez treści artykułami – a żaden z tych budzicieli nie pomyśli, aby uświadomionymi Polakami zrobić te wszystkie miliony, jakie nam statystyka przyznaje i ażeby w głowach kierowniczych wykorzenić

znajomość i rozumienie dziejów własnych oraz rozumienie dzisiejszego świata, skądby można wyciągnąć trafne wskazówki dla narodu, jak się ma w danych warunkach zachować.

—

6.V

Niedojrzałość i bezmyślność powstańczych wybuchów jest najlepszym dowodem, że ci ludzie, którzy się na kierowników narodu nieproszeni narzucali i wzniecali powstania, mieli rdzeń duszy chory i spróchniały, bo w najtajniejszej głębi swojej duszy nie wierzyli w nieprzezwyciężoną siłę oporną własnego narodu, wątpili w to, czy on dłuższy okres przetrzyma w niewoli i dlatego mogli uspokajać swoje sumienie, protestujące przeciw głupiemu, nieprzygotowanemu, nie w porę stosowną wywołanemu ruchowi zbrojnemu. Uspokajali swoje sumienie – jeżeli ich smarkaczowskie usposobienie dawało im jeszcze ten wewnętrzny zmysł, którym się słyszy głos sumienia – jeżeli głupich, pomijających, nadętych a płytkich mózgów nie zagłuszył zupełnie i do dna jakiś nikczemny frazes – to wyrzuty sumienia uciszali wywodami, że jeżeli się nie pospieszą z rozlaniem krwi, z czerwoną łaźnią, natedy naród zgnuśnieje, a potem zacznie się moskwiczyć dobrowolnie.

Ta niewiara w naród u tych, którzy się na przewódców narzucili, ma w sobie wiele znamion oburzających. Jest to rzeczywiście niesumienność narzucać się na rząd narodowy, na kierowników spisku w celu niby to odrodzenia narodu, jeżeli się w wytrwałość, zdolność do życia i godność życia u większości narodu wątpi. Wtedy przedsięwzięcie powstańcze przestaje być walką o wolność, a staje się eksperymentem, jaki sobie kilka jednostek nieodpowiedzialnych funduje dla własnej satysfakcji czy pouczenia się. A choć eksperyment kończy się śmiercią dziesiątek tysięcy, a nędzą milionów, nieodpowiedzialni eksperymentatorzy żądają jeszcze od tych milionów czci boskiej, zamiast się z rozpaczy powiesić. Boć złodziej, który dla zrabowania gotówki wyrżnie całą rodzinę, nie zważając na płeć i wiek, jest niewiniątkiem w porównaniu z tymi zbrodniarzami, pasowanymi przez wyznawców samobójstwa narodowego na bohaterów, którzy wiedzą z góry że powstanie powieść się nie może, że z zewnątrz pomoc nie przyjdzie żadna, że ruch musi być stłumiony pożogą i szubienicą, a mimo to z lekkomyślnością ludzi zboczonych umysłowo wydają hasło i pędzą miliony na śmierć. Trzeba sobie przecież wyraźnie uprzytomnić, że w 1863 cały rząd narodowy był zdania, że powstanie jest beznadziejne, a przecież je wywołał. To też za podpalania, wywłaszczania i wieszania Murawiewów i Bergów odpowiedzialnym w pierwszym rzędzie jest ten lekkomyślny

a bez sumienia rząd narodowy. Tymczasem polscy szkolnicy, czyli wyznawcy dogmatu samobójstwa narodowego, postawili tych ludzi w panteonie bohaterów narodowych, zamiast ich uczynić współodpowiedzialnymi za zbrodnie Murawiewów, Bergów itd.

Co innego byłoby, gdyby ten rząd był spełnił wszystkie obowiązki przezornego rządu – a jednak powstanie byłoby upadło. Wyobraźmy sobie, że rząd narodowy zapewnił sobie pomoc Francyi i Anglii, że przygotował wybuch na chwilę, w której Turcya wydaje Rosyi wojnę, a ludy tatarskie i kozackie wywołują powstanie, zaś konstytucyonaliści rewolucyę – przypuśćmy, że wszystko jest po ludzku przezornie przewidziane, przygotowane i obliczone do ostatniego szczegółu, tak że każdy nawet uprzedzony musi powiedzieć: „powstanie powinno się udać", w takim razie wywołanie powstania jest obowiązkiem patryotów, a ci którzyby wybuchowi się przeciwstawiali słusznie mogą być poczytani za zdrajców. I gdyby w takich warunkach i po takich przygotowaniach powstanie upadło – wtedy nieszczęśliwi przywódcy słusznie powinni chodzić we czci i chwale, jako bohaterzy i męczennicy narodowi.

Ale gdy się nic nie przygotowało, prócz marnej ruchawki na Mazowszu, wywoływanie powstania jest szulerką waryata, którego pod kuratelę powinno się oddać, o ile wierzy, że ta ostatnia stawka może przynieść odmianę fortuny. Kaftan waryatów mu dać, odosobnić, bo chociaż zbrodniarzem nie jest, ale przez pomylenie głowy może być szkodliwym. Gdy jednak taki pan, szuler zgrany do nitki w sprawach narodowych, przygotowawszy nędzną ruchawkę między Płockiem a Miechowem, zdaje sobie sprawę z niedostateczności przygotowań, wie i widzi, iż powstanie udać się nie może, dokładnie rozumuje, że chwila na wybuch jest najnieodpowiedniejsza – a mimo to daje do wybuchu hasło, to jest to bezsumienność i zbrodniczość, na którą nie ma na ziemi dosyć mąk, kar, potępienia. I patryotą jest nie ten, kto tego rodzaju ludzi uważa za bohaterów, ale ten, kto takim bezsumiennym szulerom i desperatom odbierze życie, zanim oni zdołają cały naród wepchnąć na równię, po której stoczy się w śmierć i w krew. Wolno szulerować własnymi pieniędzmi a nawet i zdrowiem, ale nie wolno szulerować przyszłością narodu.

Otóż nieprzygotowane należycie, ani dyplomatycznie, ani wojskowo ani pieniężnie powstania były taką obrzydliwą, zbrodniczą szulerką o przyszłość

narodu. Nie przewidziano i nie obmyślano nic – rzucono wszystko na kartę z pytaniem desperata, który ma już przygotowany pistolet dla samobójstwa na wypadek zgrania się, a próbuje ostatniej stawki i powiada: „a nuż się uda"!"

Taki szuler nie wierzy we własną zdolność, zasługę, siły, pracę, która może mu zapewnić egzystencyę jakiej sobie życzy – przeciwnie zwątpił w siebie, w swoją wartość, siły, zdolności i zostawia sobie tylko do wyboru śmierć, jeżeli się szczęście nad nim nie zmiłuje.

Tak postępowali nasi powstańcy. Zwątpili w ludzkie środki do odbudowania ojczyzny. Tylu ich wybiło się poza granicami, a nikt nie myślał u obcych ludów, stronnictw, rządów sprawę polską stale przedstawiać, oświecać i na chwilę stosowną życzliwość albo i pomoc przygotowywać. Młodzieży tysiące siedziały za granicą, a nikt nie pomyślał, aby ich związać wykształcić wojskowo i technicznie dla dowodzenia wojskiem i zakładania arsenałów i fabryk broni. Miliony chłopów zrastały z polem ziemią, ale nikt nie pomyślał, aby ich uświadomić, oświecić, połączyć, zrobić Polakami, a że wielu w wojsku zaborczem służyło, także i żołnierzami. W Rosyi kotłowało zawsze na Kaukazie, nad Donem, na Sybirze – byli tam Polacy w wojskach, ale z temi ludami arystokraci nie nawiązali stosunków, aby na chwilę potrzeby wystąpić równocześnie i zaskoczyć carat ze wszystkich stron. A ponieważ samo polskie powstanie zawsze musi być zgniecionem, można było utrzymywać stałe porozumienie z państwami, które ciągle mogą iść na wojnę z Rosyą. np Turcya, Chiny itd, ażeby wybuch rewolucyi polskiej skoordynować z wojną.

Z tych ludzkich sposobów nie próbowano zastosować ani jednego. Poprzestano na idyotycznym spisku, którego celem była burda i najkrwawsza złośliwość wobec własnego narodu: mianowicie postawieniem go w przymusowem położeniu i zaskoczeniu: Garść spiskowców ogłasza powstanie i złośliwie patrzy na zmienowidzowego filistra i gryzipiórka, co zrobi – czy się opowie przeciw powstaniu, a wtedy czeka go oplucie, poniewierka, piętno tchórza, zdrajcy, sprzedawczyka, moskala, – albo też ze strachu przed tem piętnowaniem przymknie do powstania i wtedy musi poddać się pod komendę garści spiskowców, który powstanie wywołali. A to grunt. Z narodem będzie co być ma – ktoby się o to

troszczył zbytnio, skoro tu się gra va banque; ale za to garść ludzi nieznanych, do niczego niezdatnych, często i głupich i przewrotnych i brudnych będzie krociom rozkazywać. To jest dla tych niepoczytalnych szulerów, hazardujących przyszłością narodu, jedyną, istotną, pobudką ich działania.

A gdy po ludzku niczego nie przygotowali, to dowód, że lekkomyślnie niepoświęcenie zabrali się do rzeczy, a powtóre, że uważali sprawę polską za przepadłą, po ludzku za niemożliwą do przywrócenia i nie znajdując w swoich bezmyślnych mózgach środków na ratowanie sprawy, powierzali ją losowi, hazardowi, szczęściu, które niektórzy dla wywołania lepszego efektu nazywali także Bogiem.

Człowiek przekonany o żywotności narodu, pracować będzie ludzkimi środkami nad wskrzeszeniem tego narodu. Cudom, szczęściu, przypadkowi nie zostawi nic w swoich obliczeniach, bo te obliczenia, wynikające ze znajomości sił narodowych i z zaufania w te siły, muszą być realne, pozytywne. Kto na cuda robotę składa, ten w ludzkie siły i sposoby zwątpił.

Otóż nasi powstańcy wszelką troskę o przewodzeniu powstań składali na Opatrzność lub szczęście. Jest to bardzo wygodna forma dla ludzi, którzy chcą koniecznie stać na czele, a nie pracować, nie myśleć, nie natężać się. Lenistwo i papuzia nadętość polska święciły tu pełne tryumfy.

I w tem jest tragedya, że ludzie niewierzący w żywotność narodu narzucali mu przedsięwzięcia próbne po to, aby się krwawił. Co niedowiarkowie narodowi, gdy tylko ktokolwiek pytał o zarządzenia, przygotowania, posiłki, pomoc zagraniczną, porozumienie z rewolucyonistami rosyjskimi itd. w tej chwili, nie mogąc dać konkretnej odpowiedzi, zajeżdżali go od boku zarzutem, że jest słabego ducha, że nie wierzy w żywotność narodu, w siłę ducha, w potęgę hasła wolności i rewolucyi i w inne podobne beztreściwe frazesy. Niedowiarkowie żądali od podkomendnych wiary ślepej, głupiej, niemyślącej, niedorzecznej — credo quia absurdum. Jest w tem ironia, powtarzająca chyba rzymskich augurów, którzy drwili sobie z ceremonii, w jakie ludowi kazali wierzyć.

Dzisiaj przeżywamy jota w jotę to samo — z tą tylko różnicą, że jest to małpowanie

dawniejszych ruchów zbrojnych, tem podlejsze, mniejsze i głupsze im dalsze.

Monopol walki chcieli objąć strzelcy i tymczasówka – ogromnie nikła mniejszość narodu, ale chcąca rządzić większością wedle jakobińskiej tradycyi. Zebrali coś ze 2 tysiące strzelców, ale nie zorganizowali dla nich trenu w przekonaniu, że żywić się będą rabunkiem, jak przystało duchowym dzieciom bandytów z 1905 i następnych lat. Sanitarnych urządzeń również nie przygotowano i lekarz który z Krakowa pojechał do Kielc rozpaczliwy stan zdrowotny stwierdził. To wojskowe przygotowania, świadczą o lekkomyślności. Polityczne robiła tymczasówka i nie zrobiła nic, wyraźnie nic – nawet umowy z rządem austryackim. Jej uwaga była zwrócona tylko w kierunku przywłaszczenia sobie monopolu rządów w narodzie. Nie wierząc w siły narodowe, nie próbowała robić umów z rządami, informować opinii narodów neutralnych, wogóle nic nie robiła, ażeby sprawę polską postawić na tapecie rozpatrywań międzynarodowych. Nie wydawało się to tym panom godnem wysiłku, skoro w skuteczność żadnych ludzkich środków nie wierzyli.

Ale zato, jeżeli ktoś radził rozejrzeć się między stronami walczącemi, obliczyć możliwe wyniki, to prasa tymczasowa pisała, że kto w tej chwili kalkuluje jest zdrajcą. Niedowiarki żądali ślepej absurdystycznej wiary. Zaprawdę augurowie tylko bardzo mali i podli.

I zrobili sobie eksperyment i nakoniec po oszukaniu rządu austryackiego, po oszukaniu centralnego Komitetu narodowego przywłaszczyli sobie monopol reprezentowania Polaków galicyjskich, na szczęście monopol ograniczony sprężystym rządem wojskowym i cenzurą. Im zostało tylko zbieranie pieniędzy na legiony i wolność ujadania na swoich przeciwników politycznych.

Tylko do wszystkich podłości dawniejszych ci panowie dzisiejsi dodali jeszcze zdradę narodową przez wykreślenie Polaków pruskiego zaboru z listy narodu polskiego w informacyach dawanych obcym i przez próbę wpłynięcia na tamtych Polaków, ażeby się swej narodowości w istocie wyrzekli i to renegactwo zadokumentowali głosowaniem na pozycye antipolskie w budżecie.

Niewiara w naród, robienie z narodu eksperymentów, zaprzaństwo narodowe, denuncyowanie Polaków, szkalowanie imienia polskiego przed światem i

jakobińska metoda narzucania się temuż narodowi na głowy, oto charakterystyka tych czerwonych: Jaworski, Daszyński, Srokowski, Marek i t.d.

Między hasłami pustemi, któremi szermują nasi samobójczy bohaterzy, jedno jest charakterystyczne, a to potępienie wszelkiego względu na ekonomiczny rozwój ludności i krajów polskich. Najbardziej druzgocącym zarzutem, czynionym przez strzelających tymczasowiaków narodowym demokratom w Królestwie, był ten, że zwróciwszy uwagę społeczeństwa na potrzebę stworzenia handlu i kupiectwa polskiego, osłabiają odporność jego, wyprowadzają je z biernego stanu protestu i niezadowolenia do jakiejś czynności, która siłą rzeczy musi doprowadzić do neutralnego spotykania się z Moskalami. Drugi zaś zarzut dotyczył niechęci narodowych demokratów do wojny, która mogłaby podkopać korzenie rozpoczynającego rozwijać się przemysłu polskiego. Tymczasowiacy uznali to za materyalizm, ukochanie żłobu, zniekształcenie i sprowadzanie myśli polskiej z krzyża ofiarniczego do karmnika. A rozgrzani tymi frazesami dodawali dalej, że ci najpodlejsi ze wszystkich endecy nie wypowiadają głośno całej myśli swojej, bo w duszy pragną pozostać z całem Królestwem polskiem przy Moskalach, ażeby potem dojść do pensyi i posad urzędniczych w tym kraju, który w wierności dla cara utrzymali.

W nawiasie dodam, że ci, którzy endekom warszawskim zarzucali gonienie za pensyami, urzędami i orderami – sami choć niby republikanie i niepodległościowcy, rzucili się jak kruki na pensye w legionach, z tą tylko różnicą, że smarkacze i nieucy, którzyby w wojsku austryackiem być mogli z trudem chorążymi lub najwyżej podporucznikami, u strzelców biorą pensye majorów, podpułkowników, a jeden nawet, przyrodnik z fachu pensyę jeneralską. Całe paczki nicponiów ogłosiły się komisarzami powiatowymi i rząd przyjął ich jako poruczników, kapitanów i płaci im pensye. Nie z łakomstwa głodomór po tę pensyę sięgał, z waleczności na powiecie pozostał, aby i uniknąć miejsc, gdzie kule padają i równocześnie cieszyć się przywilejami oficerskiego munduru. Asekurując swoje zdrowie i biorąc pensyę za darmo, bo rząd ma swoich komendantów powiatów, ci panowie psioczą na podłość, zmateryalizowanie, przyziemność endeków warszawskich.

I nie to, że ci obłudnicy takie błazeństwa gadają, aby od własnej nikczemności

odwrócić uwagę, nie to mnie dziwi – ale dziwi i oburza mnie bezmyślność ludzi poczciwych, na których tamci wywierają wpływ. Ci uczciwi ludzie nie przyjmą się zarzutom ze wszystkich stron, lecz słysząc ton oburzony, z jakim są wygłoszone, ulegają temu tonowi, nastrajają się do niego i są sami oburzeni za rzeczy, ~~o kto-~~ któreby za słuszne uznali, gdyby je słyszeli wypowiedzianemi głosem spokojnym, albo życzliwym.

Najgroźniejszy zarzut biorę na początek. Oto endecy warszawscy chcą zostać wiernymi dla Rosyi, bo mają widoki, że Polska pod berłem moskiewskiem powojnie dostanie narodowy samorząd, a oni jako lojalni spodziewają się dostać posady, pensye i ordery. P. Sokolnicki hetman dubeltowy aż się pieni, z takiem oburzeniem wypisywał te rzeczy w „Dzienniku urzędowym Kom. wojsk polskich" w Kielcach.

Należy tylko żałować, że ten zarzut nie opiera się na prawdzie. Rosya w początkach wojny, kiedy spodziewała się zwycięztwa, nie tylko nie myślała żadnych ustępstw narodowych czynić Polakom, lecz z pewnością postanowiła sobie w razie zwycięztwa swój system rusyfikacyjny pogłębić, pruskiemi doświadczeniami i uzupełnić i dodać mu przez to większej skuteczności. Dziś, gdy połowa Królestwa jest w rękach zwycięzców ogłasza, że na posiedzeniach rad miejskich język polski jest dopuszczalny – gdy całe Królestwo tracić będzie, dopuści język polski i do wszystkich szkół, a kiedy straci Białą Ruś i Wołyń, gotowa ogłosić wolność Polski zupełną tylko w unii personalnej z Rosyą pozostającą. Znamy to i za stare wróble już jesteśmy, aby na to dać się łapać.

Toteż rozprawa z tym zarzutem może być nie praktyczna, lecz dyskusyjna, akademicka. Przypuśćmy, że endecy warszawscy mieli zapewnienia, iż po wojnie Królestwo, zwiększone o Prusy, dostanie samorząd i równouprawnienie językowe. Wiedząc o tem, nie myśleli zachęcać nikogo do powstania przeciw Rosyi, przeciwnie wpływali, żeby zachować się lojalnie.

Czy to byłoby nieszczęściem, gdyby Królestwo, rozszerzone o Poznań, Prusy lub Śląsk dostało autonomię? Czy pragnienie takiego rozwiązania sprawy, jest zdradą narodową? Czy raczej polityk, którzy taką zdobycz narodową uzyskali, nie zasłużyliby na pomniki z wdzięczności narodu. Ba! powie tymczasowiak, kiedyż to niemożliwe, bo Moskale tego nie obiecali i nie poręczyli; a gdyby nawet obiecali, to swoim obyczajem nie dotrzymają. Dobrze! Czy jednak w takim razie endecy warszawscy nie są tylko łatwowiernymi głupcami, zamiast zdrajcami narodu? Głupota jest nieszczęściem, łatwowierność w polityce błędem, ale obie razem nawet, nie są przecież zdradą narodową.

Tymczasem p. Sokolnicki pisał nie w ten sposób, jakoby widział w tem głupotę-

on pisał tak, jakoby te urzędy i pensye tuż tuż miały się dostać w endeckie ręce; miotał się jak w maligni dla użycia wszystkich środków, wyszukania sposobów, ażeby endeków do tych urzędów i pensyi nie dopuścić. Widać z całego sposobu pisania, że te pensye i urzędy uważa za pewne w danych warunkach, a rosyjskie obietnice za realne.

A jeżeli to było jego szczere przekonanie, że po spełnieniu się, czy ziszczeniu warunków, jakich endecy warszawscy pragnęli, nastąpi z pewnością polska autonomia, z polskim językiem i z polskimi urzędnikami – to w takim razie zdrajcami narodu byli ci, którzy w zrealizowaniu tego żądania przeszkadzali, to Sokolnicki, strzelcy i tymczasówka zasługują na pręgierz, bo udaremniali dzieło narodowe, zapewniające rozwój i przyszłość. Zdrajcami narodowymi są w duszy, w sumieniu, bo wierzyli w możność usamodzielnienia narodu polskiego i świadomie stawiali mu przeszkody, świadomie wytężali wszystkie siły, aby do tego nie dopuścić.

Palestrańskie wykręty, że lepiej Polskę mieć w grobie niż wolną z łaski Moskwicina czy endeków są tylko ~~dowodem~~ stwierdzeniem, że garść krzykaczy, pochodzących z bandytów, swoje osobiste nieprzyjaźnie i niechęci stawia wyżej niż dobro całego narodu.

Cały zatem ten najcięższy zarzut jest albo podły albo głupi.

A jak można czynić komuś zarzut, uważać za występek jego troskę o rozwój ukochanego kraju? Prawda, że w liczbie romantycznych frazesów patryotycznych nie ma pusto a cymbałowo brzmiących frazesów o kupcach, rzemieślnikach, przemysłowcach i o ich znaczeniu dla ojczyzny. Zatem frazesowicze muszą odrzucać wszystko, czego nie ~~ma~~ ma w zbiorze frazesów rewolucyjno poetycznych.

Gdyby jednak rozważyli, zobaczyliby, że są głupi jak dudki. Dlaczego oni sami uciekli zpod panowania rosyjskiego i pragną cały tamtejszy zabór zpod niego uwolnić? Bo im tam źle! Dlaczego wolą Austryę? Bo tu lepiej. A więc całym podkładem dążności niepodległościowej jest chęć poprawienia bytu narodowego. Wszystkie narody dążą do niepodległości, mając tę wiarę, że same lepiej się urządzą, lepiej o swoje interesy będą dbały niż zaborcy i gnębiciele to czynią. A dobra dola narodu składa się

z milionów poprawionych losów ich obywateli.

To też dbałość o ukształtowanie narodu w ten sposób, ażeby miał silny stan rolniczy, dobry stan kupiecki, przedsiębiorczy stan przemysłowy, żeby wszystkim zawodom zapewnić ich należyty rozwój jest częścią integralną dążności do niepodległego bytu. Troska o poprawę doli chłopskiej, robotniczej, rzemieślniczej, kupieckiej, przemysłowej itd ~~jest nie~~ nietylko nie zamyka oczu na potrzebę niepodległości narodowej, ale przeciwnie, przy każdem ograniczeniu, konkurencji, przeszkodzie ze strony ciemięzcy, tylko tem dzielniej otwiera wszystkim oczy na potrzebę tej niepodległości, równoznacznej ze zniesieniem pęt i ograniczeń, narzucanych przez gnębiciela. Taka praca uświadamia każdemu potrzebę tej niepodległości, a więc szeregi uświadomionych wojowników o wolność pomnaża. Z punktu widzenia idei niepodległościowej, za której jedynych szermierzy podają się tymczasowiacy, jest taki przyrost tylko upragnionem powiększeniem szeregów, jest wcieleniem w niepodległościową organizacyę wszystkich milionów, zapisanych w statystyce jako Polacy.

Z jakobińskiego stanowiska, z chęci narzucania narodowi swojej woli przez garść niepoczytalnych niedorostków umysłowych, a często i metrykalnych, jest to naturalnie niepożądane. I zapewne tylko z tego powodu tymczasowiacy tak się rzucają na warszawskich endeków.

Z tych oburzeń wynika jedna myśl przewodnia, którą tymczasowiacy narzucają jako wytyczną narodowi: oto Polakiem ma się nazywać człowiek nie mający zawodu, kawałka chleba w garści, głodomór. Zdrajcą zaś jest ten, kto chciałby głodomorom dać kawałek chleba, wszystkim ludziom zawód do ręki, pracę i możność przysłużenia się przez tę pracę dobru powszechnemu.

I dziwna rzecz! Aferzyści, łapownicy, handlarze sumień, oszuści, najciemniejsze indywidua, żyjące cudzym kosztem wrzeszczą w niebogłosy, że są wyznawcami wygłodzenia Polaków i że tylko głodomorów uznają za godnych tytułu prawdziwego Polaka. Kanalie blokowe ogłaszają tę propagandę dla dóbr doczesnych, za dogmat narodowy i każą wszystkim wyrzekać się starania o poprawę bytu ludzi i stanów, jako ohydnego materyalizmu.

A jeżeli tak, to pocoż gniewają się na Rosyę? Toż ona z prawdziwą wytrwałością pracuje nad ogłodzeniem Polaków, usunięciem ich od zajęć, dających dochód, nad wyzuciem ich z ziemi i z pieniędzy. I jeżeli taki ma być warunek prawdziwego dążenia do niepodległości, toć wedle recepty tymczasowiaków tak austryaccy jak pruscy Polacy powinni z całym ogniem starać się o dostanie się pod rosyjskie rządy, bo tam swój ideał umierającego z głodu i gardzącego materyalizmem niepodległościowca najlepiej ucieleśnią.